



# ASPIRACJE

# ASPIRACJE

**MAGAZYN  
LITERACKI  
MŁODYCH**

**NR 10 /45/**

LISTOPAD 2008

TARNÓW



publikacja

## GRUPY MŁODYCH AUTORÓW

Oddział dla Dzieci i Młodzieży MBP  
ul. Staszica 6, tel. 6888023 w.28  
was@biblioteka.tarman.pl

wybór i opracowanie wierszy

**ZBIGNIEW MIROŚLAWSKI**

opracowanie graficzne

**ANDRZEJ HENRYK TRYBULSKI**

rysunek na okładce

**MAGDALENA JADWIGA TRYBULSKA**



WYDAWCA

**MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA**  
im. Juliusza Słowackiego  
33-100 Tarnów, ul. Krakowska 4  
tel. 014/688-80-23/4 tel/fax 622-20-93  
e-mail: mbp@biblioteka.tarman.pl

Tarnów – listopad - 2008

10 numer „Aspiracji” - Magazynu Literackiego Grupy Młodych Autorów, ukazuje się w miesiącu i roku szczególnym w dziejach Miejskiej Biblioteki Publicznej im .J. Słowackiego w Tarnowie, bowiem 100 lat temu - **7 listopada 1908 r** uroczystie zainaugurowano otwarcie i działalność tej Instytucji.

Wydanie listopadowego numeru magazynu literackiego młodych twórców, które zbiegło się z uroczystościami jubileuszowym 100-lecia MBP - jest też szczególną okazją do zwrócenia uwagi na obecność tej Grupy przy Bibliotece.

Utworzona w 1989 r. Grupa Młodych Autorów, swą prawie 20-letnią działalnością zapisała się na trwałe w karty historii MBP. Zapisala się aktywnym uczestnictwem w bibliotecznych spotkaniach z literaturą, imprezach kulturalnych , a przede wszystkim zapisała się licznymi publikacjami swej twórczości w wydawnictwach własnych, poczynawszy od „Magazynu Autorów z Tarczą”, „Igrasznik”, „Kajet” – aż po dzisiejsze „Aspiracje”.

Od chwili powołania Grupy przy Oddziale dla Dzieci i Młodzieży - do roku 1996 systematycznie, co najmniej raz w miesiącu odbywały się spotkania, w których uczestniczyły młodsze dzieci , a rad i wskazówek udzielał im poeta, pisarz z Ciężkowic - Andrzej Grabowski - współzałożyciel Grupy.

Równolegle od roku 1992 do chwili obecnej, odbywają się cykliczne comiesięczne spotkania poetycko literackie o charakterze warsztatowym prowadzone przez poetę Zbigniewa Mirosławskiego.

Wymierne efekty tych spotkań , rozmów o poezji i pracy nad własnymi tekstami, to również – obok „Aspiracji” - 17 debiutanckich tomików poetyckich, wydanych przez MBP młodym poetom. W listopadzie b.r. również ukazał się kolejny tomik wierszy pt. : „Spowiedź z bojaźni”, którego autorem jest Andrzej Mleczek.

Wszystkim Młodym piszącym - autorom tekstów literackich w aktualnym Magazynie oraz w poprzednich numerach pisma życzymy twórczej wytrwałości, sukcesów, a opiekunowi Grupy Zbigniewowi Mirosławskiemu satysfakcji z odkrywania i promowania nowych talentów literackich.

Dyrekcja  
i pracownicy Miejskiej Biblioteki Publicznej  
im .J. Słowackiego w Tarnowie

28 listopada 2008 r.

## GRUPA MŁODYCH AUTORÓW

Spotkanie - październik 2008



Motto:

„Czuję energię światła,  
która pozwala rozłupać kamień w muzykę”

Nelly Sachs, noblistka z 1966 r.

### Zbigniew Miroslawski

\* \* \*

Sarna płonąca  
zachodzącym słońcem  
oto widok  
odchodzącego dnia.  
Razem z nim  
odchodzą nasze zastrzeżenia,  
dziki popłoch i szary popiół  
rozdmuchany wiatrem  
na cztery strony.

Moje myśli płoną  
wieczorną łuną  
rozlewając się po widnokręgu.

Delikatność w sarnich nogach  
zauważona, zatrwożona  
pożarem traw,  
rusza w stronę  
ciemnego lasu,  
w którym trwa  
w sennych paprociach,  
w bagiennych oparach,  
w cieniach i mgłach.



\* \* \*

Ostatnie godziny przed rozstaniem  
to czas jak trudny egzamin.  
Jest rano lecz już po śniadaniu,  
zegar wylicza chwile nam podarowane.  
Pokój jak pokład statku rozchwiany,  
kiwa się senny, od zasłony do zasłony.  
Ława czeka na filiżankę kawy.  
Unikamy głębokich spojrzeń,  
siebie nie unikamy.  
Czujemy się nawzajem każdym nerwem twarzy,  
każdym włókmem mięśni, każdym oddechem.  
Musisz wracać z przepustki do kliniki.  
Musisz wyzwolić się z cierpienia,  
pokonać lęk i depresję.  
Już teraz czekam na Twój powrót do domu,  
choć Twój pociąg jeszcze nie odjechał.

**Zuzanna Abrysowska**

„AVE MADONNA”

Na rdzawej uliczce glinianego miasteczka  
niczym czarna dziura w materii świata  
postać Madonny w czarnych szatach  
z dzieciątkiem wtulonym w ramiona.  
Ave Madonna.

Nadchodzi powolnym krokiem,  
piaskową ulicą zbliża się coraz większa  
wśród barwnych ludzi zajętych pracą,  
Madonna - postać objawiona.  
Ave Madonna.

Zwykła kobieta  
Madonna.

Maroko, Tafraoute, 2007r.

„OCZY”

Oczy na ulicach,  
oczy zastygłe, zgasłe, obojętne,  
skryte w zmarszczkach,  
zaczepne, rozigrane, uśmiechnięte,  
zaciekawione, zażenowane,  
złe, groźne, surowe,  
śmiałe, oporne, zalotne,  
błyszczące, matowe,  
umykają wstydliwie,  
chowają się skromnie,  
śledzą, podpatrują.

W czarnych ramach welonów  
czarne oczy kobiet.

Maroko, Rabat, 2007r.

## „FILMOWA KAZBA”

Nowi przyjechali!

Spod murów kazby  
przez wąski strumień,  
w beładzie, byle szybciej,  
ciągną osły i muły  
armią rozproszoną w ucieczce,  
na koniu - wódz,  
w zdobnej galabiji,  
w błękitnym turbanie,  
twarz jasna, wąska,  
rysy szlachetne, dumne,  
nad czarnym zarostem  
oczy błyszczą władczo,  
przy nim Rudolf Valentino-  
największy amant kina-  
by zbladł i zginął.

Wsiadajcie!  
Za przeprawę dziesięć dirhamów.

Maroko, dolina Draă, kazba Ait Bennhaddou, 2007r.

## „ARGANIE”

Niebo ziemi urąga,  
a choć samo blednie  
objuczone żarem,  
nie przestaje.

Póki ziemia nie szczerwienieje,  
powietrze nie zadrży upałem,  
niebo ziemi wojnę wydaje  
do ostatniej kropli wody,  
ostatniego liścia.

Po latach suszy,  
omdlałe, bezsilne  
spękanej ziemi  
się poddaje.

Siłą zaczerpniętą z głębi ziemi  
liście żelaznych argani  
zwycięstwo szeleszczą.      Maroko, dolina Sous, 2007r.

## „Czas milczenia”

Zamilkłeś.

Tobie brak czasu,  
mnie brak twego głosu.

Znów rozmawiam ze sobą,  
nudnym monologiem.

Miesiące dźwięczą ciszą.



### „PLAC”

Wieczorem na placu  
pulsuje serce czerwonego miasta.

Na ławach wszystkie miejsca zajęte  
ludźmi skuszoną smakowitą wonią  
dziwnych, egzotycznych potraw,  
tłum napiera na kolorowe wozy  
ugięte pod stertami różnych odmian  
daktyli, fig, orzechów, oliwek, cytrusów.

W nielicznych światłach  
gromadzą się nocni handlarze marzeń,  
otoczeni rozgadana grupą kibiców  
akrobaci, kuglarze, muzycy,  
gracze – hazardziści, opowiadacze,  
obok nawołują wróżbici, zaklinacze węży,  
sprzedawcy kadełek, kwiatów,  
przy stoliku z obcęgami i stosem zębów  
dentysta gestem każdego zaprasza,  
cicho krążą ciekawscy: miejscowi, turyści,  
za nimi: oszuści, naciągacze, złodzieje,  
w tym natłoku ludzi i wrażeń  
podniecone dzieci z głośnym krzykiem  
plączą się pomiędzy nogami.  
W tłumie i gwarze co wieczór  
szybko mijają godziny.

Późną nocą turystów odwożą dorożki,  
po resztki schodzą się biedni z medyny,  
wreszcie plac zasypia, a z nim całe miasto.

Rano złamałam ząb  
i choć byłam na placu tego dnia,  
zabrakło mi odwagi. Maroko, Marrakesz – plac Jemaa el Fna,  
2007r.

### „PRZEWODNIK”

Jak wielki jest mały człowiek  
by zmieścić tyle mądrej miłości,  
rozumienia piękna i brzydoty  
dalekiego, obcego kraju.

Jak wielki jest mały człowiek  
by umieć pięknie o tej miłości  
przez lata opowiadać co dzień  
z nieodmiennym żarem.

Maroko, 2007r.

### „ZAWSZE WIDOKI”

Wokół ludzkich osad  
niby stada drapieżnych ptaków  
fruwają kolorowe folie,  
straszą szeleszczącymi strzępami,  
przysiadają na gałęziach drzew,  
na trawach i krzewach,  
by z kolejnym podmuchem  
zerwać się do dalszego lotu,  
na zawsze nieśmiertelne  
posypują wzgórza i wąwozy  
złowieszczo lśniącem confetti  
odpadów cywilizacji.

Maroko, 2007r.

## Michał Piętniewicz

### „DZIEŃ, W KTÓRYM POSTANOWIŁEM SIĘ NAPIĆ”

były takie czasy kiedy nie rozumiałem zbyt wiele  
potem przyszły inne czasy nie rozumiałem za wiele  
przyszły jeszcze inne i niewiele rozumiałem  
teraz jest czas kiedy niewiele rozumiem

to można nazwać tajemnicą i to się wymyka  
równie dobrze szczęściem ale ono jest zbyt łagodne  
na bezwłosej piersi można oprzeć pięść  
tylko pod warunkiem że pięść się otworzy

aż nadejdzie taka cisza która mnie uwolni  
zrozumiałem to dając jej swoje klucze  
tylko dlatego że jej nie kochałem i chciałem z daleka  
bo dzisiaj jest spełnienie i w śniegu trzy otwory

i siedem ran z których tylko jedna jest moja  
zrozumiałem patrząc w ranę która się otworzy  
tak właśnie widzę bo oczy nie widzą nie umieją  
do ciebie powiedziałem lustro: ubóstwiaj mnie

## Robert Stańczyk

### „BRAK WZMIANKI O DNIU W CZORAJSZYM”

mógłbym  
obdarzyć wiernością  
dzień miniony  
opatrzyć go datą  
i krótkim opisem  
wryć na kamiennych tablicach  
że był  
istniał  
i musiał być dobrym dniem  
bo choć nie odznaczył się niczym  
przeżyłem go  
od początku do końca

mógłbym  
ale nigdy tego nie robię  
bo dzieli mnie od niego  
przepaść ciemnej nocy  
jęki myśli strąconych  
i żywa pamięć  
bezsennego wrażenia  
że i jego zmarnowałem  
jak wiele innych dotąd

„MISTRZOWIE KAMUFLAŻU”

tak wielu widziałem  
biegłem tuż za nimi

krok mieli wspólny  
od czoła  
długi i zamaszysty  
ziemia drżała  
kładły się kwiaty  
i zboże  
a żelazny but  
ślad pozostawiał szeroki  
jak rzeka

ich twarze  
były czarne jak smoła  
nieme  
i nieruchome w geście  
zamiast oczu  
choć ciągle tam były  
lśnił głód  
jedenostajnie nienasycony

a dłonie mieli  
burzliwe  
jak kowalskie młoty  
szare od prochu ziemi  
o kościach  
pobierały z ucisku  
i palcach  
zesztywniały na skałę

takimi ich widziałem  
zanim się ukryli

„NIEWYRAŻNE OBRAZY”

to, co niegdyś przede mną  
niejasne niewidoczne  
zatarte jak prawdy o życiu  
dzisiaj tak blisko  
wyraźnie dokonane  
uczepione palcami krawędzi umysłu  
tak dosłownie  
jak gdyby było częścią ciała  
jak ręka lub noga  
albo jak język ruchliwy  
pełen dumy i wstydu  
gniewu i miłości

jednak  
wciąż odczuwam niepewność  
widząc przed sobą  
szkła zaparowaną ścianę  
bo za nią  
nieznane jeszcze obrazy i dźwięki  
głosami obcymi szepczą  
postaci dalekich  
rozmazanych  
pulsujących tajemnicą

## „PATYNA”

mówię  
lecz coś znaczy mowa  
kiedy wewnątrz i ponad nią słowo  
iluzoryczny obraz myśli  
niezliczona ilość miękkich kłamstw  
a w każdym więcej słów  
zawsze czemuś podobnych  
przystających do siebie  
pierwsze do ostatniego  
utracone do nienarodzonego  
krzywe wypadkowe dźwięków  
splecione ciasno ze sobą  
jak martwe pnącza dzikiej winorośli  
z żywą cierniową koroną  
powstające klęską  
w walce o poznanie małych prawd  
paraliżem przestrzeni  
chroniącej wielkie tajemnice  
i chociaż  
w jakimś cudownym porozumieniu  
schodzą na drugi plan  
ta doskonałość jest zbyt przypadkowa  
jak eufemiczne określanie  
człowieka człowiekiem

## Lidia Szafrńska

### „STALE WIĘCEJ WARTA”

Tak zwyczajnie:  
Polska mnie obchodzi,  
z heroizmem czynów,  
z utrapieniem historii.

Taką:  
hardą,  
nieszczęsną,  
niepogodzoną,  
stale wolę,  
stale więcej,  
stale mało.

Nie wyjadę  
dla pokłonów,  
przed nią je składam,  
jej się kłaniam.

Tak zwyczajnie.  
Tak po prostu.  
Stale więcej  
dla mnie wartiej.

Wilhelmowi Sasnałowi

Grudzień 2007r.



## „OCZAMI NIEBA”

Widzisz oczami nieba.  
Słyszysz wiatrem.  
Płaczesz łzami.

Zuchwalstwem było, liczyć  
kolejny raz na szczęście.

Na irackiej drodze,  
w pustynnej kurzawie,  
w spiekocie -  
przysiadła się śmierć  
na tylne siedzenie samochodu,  
z napisem Press.

Smutne oczy nieba.

Prawda faktów.

Śp. Waldemarowi Milewiczowi.  
Maj 2004r

## „KRZYK W WIETRZE”

Można wypłakać oczy,  
albo krzyk bólu wydobyć w wietrze.  
Nie przyzna, nie zaprzeczy.  
Nie rozpowie,  
nie obwieści, jak niepewny powiernik.  
Nie zamknie w muszli,  
która ujawni go z szumem.  
Nie skaleczy ostrymi trawami na wydmach,  
raniąc.  
Nie przyozdobi bursztynami.  
Wciśnie między zakamarki wydm, w szczeliny.  
Może tylko poniesie go - pogna daleko,  
gdzie nic, dla nikogo, nie będzie znaczyć.  
Rozproszy.

Rozerwie w strzępy - twój krzyk -  
dotrzymując tajemnic.      Łeba. Czerwiec 2007r.  
Lipiec 2007r. Warszawa

## „POWITANIE”

Nie witasz mnie falą.  
To ja, taka smutna tego lata.  
Doganiasz.  
Nie próbuj mnie rozweselić.  
Może ja nie chcę być wesoła.  
Tyle mam łez.

Spadają, jedna po drugiej,  
w drodze plażą do Stilo.  
Zabierasz łzy.

Bryzą pryskasz.

Łeba. Czerwiec 2004r.

**Anna Mróz**

*z cyklu „ w strugach wiatru*

„NOCNY WIATR”

Las od środka nie szumi.  
Śpi, oczekiwaniem na mój oddech.  
Zapach mgły  
odbija się od konarów drzew  
a niebo obsypane gwiazdami  
dotyka ziemi  
Oczami tamtej dziewczyny widzę  
jak Nocny Wiatr mknie mi na spotkanie  
Biały i cienki jak pająka nić  
przenika drzewa, krzewy  
Wznosi się i opada  
niczym diament  
w morskich głębinach  
Zahacza o kamienie,  
zanurza się w strumieniach,  
marznie na mchu.  
Kiedy dociera do mnie,  
ja stoję na wzgórzu  
a on wplątany w moje włosy  
wreszcie odczuwa wolność...

\*\*\*

*Z cyklu: „W strugach wiatru”*

W zakurzonych stertach myśli  
błądzą słowa,  
które od dawna wypowiedane  
pozostają bez echa.  
Łzy nie dają już ukojenia,  
swoim ciężarem żłobią  
twarz kobiety.  
Spływające sople uderzają  
w klawisze starego fortepianu  
z którego płynie melodia o marzeniach,  
tęsknotach i lęku  
przed samotnością...

**Mariusz Mitera**

\*\*\*

nie żyjąc,  
nie umarłem,  
pośrodku  
czegoś  
niczego,  
tutaj,  
czy po drugiej  
stronie  
lustra,  
bez życia,  
bezgłośnie,  
bez sensu,  
bez nadziei.

\*\*\*

nie ma mnie,  
ginąc odchodzę  
zawsze w cieniu,  
coraz mniej mnie tutaj,  
moim domem  
ludzka niepamięć.

\* \* \*

cabriolet, Route 66  
gaz do dechy,  
za horyzontu kreskę,  
wiatr we włosach  
i takie tam,  
łykam kolejną  
pigułkę szczęścia,  
a pustynia wokół  
nabiera życia,  
zaginiona autostrada  
prowadzi donikąd,  
ucieka spod kół,  
szczęście moje  
w pigułce  
pozwala ujrzeć  
swobodnych jeźdźców,  
obląkane duchy  
pustkowia.

\* \* \*

depresyjnie  
jestem rozbity,  
jak szklanka  
bezlitośnie zabita  
przez ścianę,  
resztki wrzucone  
do dołu lśnią  
ostatkiem życia,  
ostatni raz w życiu,  
o zachodzie słońca  
zatrzasnęła się  
trumna nocy.

**Dariusz Romanowski**

„TYLKO INNE JEST”

Najpierw obumierało  
Wszystko poza mną  
A dopiero później  
Lewa i prawa ręka  
Prawa i lewa noga  
Trzewia i półkule mózgowe  
I gdy już nic  
Nie mogło być  
Bardziej martwe  
Aniżeli było  
Wszystko zaczęło  
Rodzić się od nowa  
Półkule mózgowe i trzewia  
Noga lewa i prawa  
Ręka prawa i lewa  
Tylko poza mną  
Całkiem inne jest

„OBCY”

Jak rozmawiać z Tobą  
Kiedy nawet niechęć  
Wobec Ciebie  
Jest mi obca  
I tylko obojętność  
Niewzruszonych ramion  
Wydaje się przypominać  
O tym że jesteś  
A gdybyś tylko chciał  
Naprawdę być  
Byłbyś pomimo wszystko  
I wbrew wszystkiemu  
O wiele bliższy

„BRAKUJĄCE OGNIWO TEORII ZAGŁADY ŚWIATA”

Nie ma świętości  
Niech płonie Paryż  
Londyn i Rzym  
Berlin i Madryt  
I Sarajewo  
Moskwa Warszawa  
Praga Lizbona  
Oslo Helsinki  
I Kopenhaga  
Sztokholm Amsterdam  
Dublin i Glasgow  
Luksemburg Wilno  
Kijów Bruksela  
Zagrzeb Tirana  
Budapeszt Ryga  
Belfast Bukareszt  
I Bratysława  
Ateny Stambuł  
Wiedeń Reykjavik  
Mińsk i Erewan  
Skopje i Berno  
Sofia Watykan  
Reszta Europy  
Azja Afryka  
Dwie Ameryki  
Oraz Australia  
Niech wszystko płonie  
Niech trawi ogień  
Wioski i Miasta  
Stepy Sawanny  
Tundry i Tajgi  
Łądy nieznane  
I kontynenty  
A cała reszta  
Niech pozostanie  
W gestii natury

**Izabela Iwańczuk**

„KOSMICZNI”

morze burzymy oddechem  
usta powierzamy falom  
liczymy srebrniki gwiazd  
między spragnione dłonie  
dzielimy szafir nieba  
bez wstydu toniemy  
w mokrym bezmiarze  
planet naszych ciał

„COGITO ER-G-O SUM”

summa summarum sum  
sum wypił rum

trąbi jesień już  
tru tu tu tum

dźwięk przymglony przyjemny  
prowadzi nas do snów znów

urokliwie tkliwie  
ulotnie zalotnie

## Gabriela Dulian

### „ZDOBYWCA”

Widzisz, doszedłeś już daleko, Zdobywco, tak, że dalej iść się już nie da.

Marzyłeś wtedy o podniebnych wędrówkach z ptactwem wędrownym, a teraz słyszysz, że zdobyłeś już wszystkie szczyty i mówią Ci, że wyżej już nie możesz się dostać.

Oglądałeś Piękno w samym jeszcze zarodku, a wciąż pragniesz zobaczyć więcej i więcej, i więcej choć wiesz, że więcej nie możesz już osiąść.

Szukałeś, Bohaterze! I znalazłeś wszechrzecz tożsamości.

Poznałeś, Nędzarzu prawdę i oddałyś wszystko, co masz, wszystko, co poczułeś, wszystko, co zdobyłeś jedynie po to, aby tego nie mieć, nie poczuć i nie zobaczyć.

Aby wciąż szukać.

Z cyklu: „Nowa Przypowieść, poszukiwanie Pana Jokera po Światach równoległych”

### „O POCZĄTKU PRZYPOWIEŚCI”:

Delikatne byty w sennym wiosennym wieczorze na Rozstaju  
Dróg niosą

kolejną nową przypowieść. Cienie przydrożnych drzew  
przysyłają ich  
subtelne twarze.

Trzymają się za ręce.

Sylwia: Nie możemy być, nie możemy zostać.

Gabrysia: Dziś na naszą wiarę jest inna wiara, na dobro- ciemna strona światła.

Byty na Rozstaju Dróg wpatrują się w siebie, choć nie posiadają  
nawet

jednej pary oczu. Czują, choć nie mają nawet jednej pary  
nozdrzy.

Kochają się, choć nie posiadają serca.

Sylwia: Chodźmy już szukać Pana Jokera. Och! Nie mogę się już doczekać...

Jak myślisz? W którym on jest teraz świecie, Piękna?

Ona patrzy się w jej oczy rozchylając nieistniejące usta, które już jutro będą wieczorami nucić ukraińskie ballady: Swojej Miłości.  
Dla swojej Miłości.

### Część Druga „Białe Miasto”.

Z nią mam najwięcej problemów, Poeto. Opiszę Ci, co chciałam przedstawić, a... nie do końca przedstawiłam akurat to. W wakacje

Bratnia Dusza pokazała mi swój rysunek. Przedstawiał on cztery abstrakcyjne kontury ciała ludzkiego w różnym położeniu. Z tych linii tworzyły się kokony ciał, na plecach, kontury zwierząt. Pies. Wąż. Kot. Tukan. To są cztery natury człowieka. Nie muszę Ci tłumaczyć, co oznaczają. Najbardziej Piękną, Fascynującą i tajemniczą jest Tukan. On określa Pięknych Ludzi, a nie pospolitych odmieńców, aktorów, tanie emocjonalne prostytutki. Wyobraź sobie słoneczny dzień, słońce przeraźliwie oślepia. Dookoła Ciebie wznosi się białe miasto stworzone z delikatnego gładkiego, matowego, białego kamienia. Domy, uliczki, fontanny, okna bez okien. Wszystko jedynie istniejące, stworzone a jednak przez wieki niezamieszkane. Rozglądasz się i widzisz Tukany. Stado ptaków stawia swoje nóżki na białym bruku, siedzi na oknach. Wzbija się w powietrze bardzo cicho. Białe Miasto zamieszkują tylko kolorowe ptaki. Tylko i wyłącznie Tukany.

Pomiędzy uliczkami stoję z Sylwią. Przyglądamy się sobie. Patrzymy zdziwione w rozszerzone źrenice. Widzę w jej oczach Tukana, który jej się przygląda przechylając na bok głowę (Widzę swoje odbicie w jej oczach, moje jako Tukana, ja tak lekko przekrzywiam głowę, gdy się w coś wpatruję).

„Próba 1”

Cisza, której nie zmąci trzask łamanych gałęzi. Tutaj nie ma gałęzi.  
Tutaj nie rosną liście. W Białym Mieście nie ma liści, gałęzi i drzew.  
Cztery namalowane przez Boga twarze człowieka.  
Po białym bruku, opuszczonych białych domach, między białymi uliczkami  
Pustego Miasta poruszają się cienie ptaków. To ich czas.  
Oglądasz się w moją stronę. Urzeczona. Zakradasz się do moich oczu swym  
wzrokiem. Widzisz, że On zawarł uniwersa wewnątrz czegoś innego niż atom.  
Po ulicach przechadzają się tajemnicze ptaki. Wzbijając się w powietrze  
okrywają nas swoimi skrzydłami. To Tukany.  
tutaj nie ma Pana Jokera.

„Próba 2”

Ucho naszych kroków odbija się między wąskimi uliczkami.  
Jesteśmy przyjaciółmi od wielu lat. Ochramiamy siebie przed słońcem.  
Na opuszczonych ulicach Białego Miasta jest pusto, tak jakby nikt  
jeszcze tu nie mieszkał.  
Sylwia: Tutaj nie ma Pana Jokera.  
Tukany wzbijają się nad nami do lotu pomiędzy uliczkami Ich miasta.  
Czyżby się wzrok mylił? Wpatruje się uparcie w Twoje oczy mając  
rozszerzone źrenice. Widzę w Twoich oczach Tukana. To ja.

**Marta Sowa**

„SURREALIZM”

zraniona zmarszczką  
powieka

starannie milczy  
po obu stronach spojrzenia

w niewygodnych szpilkach

koślawo mknie

po nierównym chodniku  
w samotnych słowach

chowa winy całych pokoleń  
oszukuje  
nierówne sztachety  
przekwitłe malwy

tęsknotę co śpi w kalendarzu

opada  
ciężarem banalnych kar  
paradoksalnie



„LARUM”

zawisłam  
niewinnym ciałem  
na krawędzi

stworzenia.  
granicy dnia  
niepoprzedzonego  
tęsknym wołaniem

bez tożsamości  
bez twarzy

odziana w spojrzenie  
pachnące ziemią

stopy owite  
snem  
o jutrze

którego nie będzie

bez przeszłości.

upadłam  
w zaciśniętej pięści

„a r t y k u ł z t a n i e j g a z e t y”  
niewygodny sen  
jak naga obsesja  
ust

utopionych w kilogramie  
ciemnoczerwonej szminki  
nieciekawie

błądzącej wokół wskazówek  
zegara

bezpretensjonalnie

wyrywa się

z zagięcia koszuli  
anonimowo

stacza się  
na podłogę.

pomiędzy ciszą  
a kweresem

znika w kieszeni  
spodni

pod pseudonimem tysiąca  
cyfr

n i c n i e z n a c z ą c y c h .  
„utopia”

chcę kochać  
pieścić ciszę ustami

przymykać powieki

chłodnymi  
rzęsami tulić łzy

ślady twoich stóp  
na niepewnym piasku

znaczyć

nieprzebyte drogi

nadgryzione słowa  
zszywać grubymi nićmi

pomiędzy szczeliny  
parkietu  
wkładać niedokończone zdania

wznosić ku górze  
ręce

by z chłodnej ziemi  
rwać

obłoki

„ORIENT”

nasze noce  
poukładane alfabetycznie  
od pierwszej do przedostatniej  
pukające do drzwi  
dni,  
których boją się nasze palce

nie kończą się pocałunki  
późną porą zacząć kreślić  
na błękitach gwiazd  
zasłonę z rzęs

naiwne oczy nie chcą  
widzieć miłości

by nie zwiędnąć jak małwy  
za oknem  
nie odejść jak  
bezimienny chłopiec  
z zielonymi sznurówkami

ciągle czekam  
na zmrok  
ostatnią noc  
a ty nie przychodzisz  
szarym spojrzeniem  
ani niebieskim świtem

nie dzwonisz

patrzysz  
a ja nie wiem,  
co znaczą twoje  
słowa

„CIERPOKIE USTA”

cierpkie usta toną  
w filiżance kawy  
chowam  
ostatnią łzę  
o tobie

bajkę  
o miłości

Drgają palce  
W nadgryzionym słowie

Nie dokończyłam  
naiwnej myśli

spróbowałam kolejnego  
dnia

Zatańczyłam w kapeluszu  
z wiśni  
a ty  
jak sen  
po nieprzerwanej ciszy

nie ma cię

za zakrętem z białych  
westchnień  
na drewnianym  
przystanku

na deskach jabłoni  
ze słów  
w ramionach nocy  
egzamin z miłości  
niezaliczony  
wypadł z ust  
ostatniego pocałunku

stracił nagie obietnice  
a one  
zawisły na balustradzie

tęsknotą  
karmiąc ziemię

„EGOISTKA”

cała ja  
nieświadoma absurdu  
zaciętej klamki  
na wysokości  
ramion

rozpiętych w zawiesinie  
wody  
i powietrza

pod posadzką  
rozlanej herbaty krzykiem  
obejmującej biały  
obrus

tylko ja  
naiwna naiwnością  
zgniecionej  
na brzegu śliwki  
chłodnej  
ja  
zmarznięta tęsknotą kwitnącej  
jabłoni  
po nieprzeciętnej stronie  
lustra

cała ja  
zakochana w twojej  
rzęsie  
nieświadomie biegnącej  
po moim twoim  
policzku  
c a ł a j a

„KONTROWERSJA”

położyłam ciche pocałunki  
na białym  
obrusie  
przykryłam je wspomnieniami  
na ścianie  
stworzyłam okno  
i drzwi  
byś w każdej chwili  
mógł  
wejść  
bez pukania

czekałam

dniem liczyłam  
minuty  
nocą

nazywałam wieczność

zakazane chwile cisza krzyk!  
i jabłoni naiwnych snów  
i marzeń

spojrzałam mu  
w twarz  
nie miał czekoladowych oczu  
i kapelusza z  
wiśni  
i nie płakał kiedy mówił  
że kocha  
i tylko westchnął  
że nie wie  
po co przyszedł

„MARCEPANOWA BAJKA”

milczące usta  
krzykiem piszą o miłości

głębokiej.

drewniana brama  
tulona winorośl z łez  
nie słyszy

słów rzucanych  
w bezmiar szczelin tęsknoty

autobiografia  
odbita w lustrze  
dziecięcych marzeń

królewna z płatków  
róż  
rozlanych ciszą

najdłuższa droga do ciebie  
gdy jesteś tuż  
obok.

„WIELKA MAŁA MIŁOŚĆ”

nie ufaj spojrzeniom  
rozlanej kawie  
ustom

szeptają  
ciche kłamstwa  
uwodzą

deszcz  
chłodną wiśnią  
płyń po zimnych szybach  
usta  
bezimienną ciszą  
całują

nadgryzionym spojrzeniem  
do otwartej dłoni  
szukam  
w jabłkowym ciastku

smaku rzęs  
zranionej ciszą pestki

mereżka słów naiwnych!  
...jak zatrzymany w biegu  
cichy szept.  
drżące usta  
piąta dwadzieścia osiem  
deszczowy czwartek

nie umiem bez ciebie żyć.

Monika Chytroś

„KOBIETA-MARYNARZ”

Zło rzeczywistości  
kryła pod maską.  
Z oczu dławiących szczerość  
wyrasta zwęglone drzewo  
-suche liście błędzą wokół  
zatraconego ja,  
nie mając gdzie opaść,  
wzniesają kolumny pyłu.  
Rozpadające się od wewnątrz  
sumienie...przecieka przez palce.  
Z ust wolnym słowem wypuszczała  
szare kłęby nienawiści.  
Rzucając na głęboką wodę  
jak pozbawioną kończyn duszę.  
Patrzy: tak tonie samotność.  
Zadeptuje w grząskim piasku  
własne kości  
-by nie stały się dowodem,  
że żyła dziurawiąc cudze łodzie,  
i że umarła przeciwna przyływowom...

**Paulina Tomaszewska**

**„GORZKA NOC, UPOJNA, 2007”**

Była taka jedna gorzka noc, upojna.  
Była w opętaniu, lecz była spokojna.  
Była lekkim wiatrem na twardym marmurze.  
Była pięknym aktem, wrytym na murze.  
Była głośnym szeptem, była cichym wrzaskiem.  
Pokazała twarz, gdy ściągnęła maskę.  
Była nieuchwytna, gdy miał ją już każdy.  
A każdy dzień po niej, został dla mnie ważny.

**„DACH ŚWIATA” (R. RIEDEL) 2006'**

Chcę stanąć na dachu świata.  
Nie trzymać się żadnych lin.  
Nie, nie zatrzyma mnie krata.  
Ani wmawianie mi win.  
Gdy będę już na tym dachu,  
To zacznę krzyczeć, co sił.  
Nie poddam się mocy strachu,  
Nie cofnę się wtedy w tył.  
A mogę zrobić krok naprzód  
I spaść z krawędzi dachu.  
Lecz ja się nigdy nie poddam.  
Nie poddam się temu światu.

**Aleksandra Wałaszek**

**„GÓRSKA MIŁOŚĆ”**

kiedy tak wspomnę chwile te minione  
w miejsce się jedno pamięć ma wyrwa  
tam dokąd niegdyś nogi moje młode  
wicher ten letni i ciepły porywał  
gdzie słońce ciepłem karmiło me ciało  
i serce ciszą letnia napawało  
a oczy moje błyszczały radością  
wracam tam ciągle z górską mą miłością  
odzyskać pragnę te chwile beztroskie  
które mi lato jako prezent dało  
odnaleźć w myślach me Góry Grybowskie  
tam serce moje na wieki zostało.

**„WYBRAŃCY BOGÓW”**

Kto zabrał strzykawkę z ramienia Pani J.?  
Gdzie znajduje się kula ze strzelby Pana C.?  
Co stało się z pustymi ampułkami Pana W.?  
Proszę Pana, Pan jest Poetą  
Poecie nie godzi się tak kończyć rozpoczętego poematu!  
A Pani? Czy damy tak się zachowują  
Umierać samotnie w zadymionym pokoju?!  
Panie drogi czyż dobry przykład daje Pan córce  
zostawiając zagadkę zamiast śmierci?  
Czy naprawdę koniec który przychodzi wcześniej mniej boli...

## Dominika Wianicka

\* \* \*

patrz na mnie idioto  
gdy łzy napływają  
do pustych oczodołów  
już nie umiesz  
krzyczeć  
strach wypalił ostatnie  
uczucia których nigdy  
nie miałeś

rysujesz martwymi rękami  
kształty zapomnianych  
kolorów

patrz, gdy nie patrzysz

\* \* \*

moją prawdą jest tafla  
ludzkiej próżności  
pochłania mnie bez reszty  
kim jest ta po  
stronie

koszmarem

więc nie mów  
nie proś  
bym spojrzała  
na ciebie  
moje dłonie nie dotykają już  
nieba

odejdz

\* \* \*

monotonia  
wybijanych oddechów zegara  
tik tak tik  
chwile zamknięte  
w kalejdoskopie  
skrzydłami trącasz  
klepsydrę życia

życia którego nie było

## Maria Jasińska

„ZGIŃ PRZEPADNIJ!”

Pędzisz przed siebie  
Włosy płaczą się w gałęzie  
Drzew czarnych jak smoliste  
Wzgórza rozciągające się  
Na horyzoncie.

Zaciskasz pięść  
By wymierzyć siarczasty cios!  
Ogień płonie w twych  
Żyłach gorących jak stal  
Zgiń, przepadnij!

\* \* \*

Lekki wiatr z południa  
Ucisza twe gniewne myśli  
Promienie wzrastają zza  
Wzgórz skalistych  
Wznies się, leć w przestworza!

## „ANIELE MÓJ”

Aniele mój, Aniele,  
Czemuś krwawe ziarno zasiał?!  
Miał skrzydeł dwa ostrza na plecach,  
Z włosy długimi,  
Od krwi zlepionymi,  
Unosisz dumnie pierś, a z niej  
Wyziera pustka zimniejsza  
Niżli bieguny, niżli kosmos.  
Kły twe rozdzierają szyję mą...  
Czemuś krwi utoczył mi?  
Aniele mój, Aniele,  
Czemuś mnie zranił?!  
Ciało me skrzydły Stalowymi rozrąbał,  
Wnętrznosci żeś na pastwę  
Ptactwa rzucił?  
Aniele mój, Aniele  
Czemuś się mej kary nie bał?  
Gdym na wieczne potępienie  
Cię skazała.  
Na twych ustach drwiący śmiech, gdy sługa mój wierny  
okaleczał Cię.  
Gdzie twa miłość dawna?  
Komuś oddał duszę swą?  
Mój Aniele, tak mi Cię brak.

## Michał Piętniewicz

### „KULAWY ZENON I DZIADEK STASZEK”

Kulawy Zenon często wychodził w zimie przed dom, żeby odgarniać śnieg. Nawet jak było mało śniegu, Zenon i tak go odgarniał. Śnieg był biały, słońce lizało śniegowe posadzki. Czasem myślę, że Zenon mógłby zastąpić Jezusa w moim wierszu o odgarniającym śnieg przed domem. W moim wierszu człowiek o imieniu Jeszua odgarniał śnieg i „słońce lizało mu rany po przebytej zimie”. Nie wiem dlaczego zima dla poetów jest tak ważną porą, nie wiem czemu Sławomir Matusz, którego poznałem w Czeladzi przy okazji wyników konkursu poetyckiego im. Gombrowicza napisał świetny tomik „mistyka zimą”. Nie wiem, bo skąd mogę wiedzieć. Tytuł jest świetny, niektóre wiersze naprawdę robią wrażenie, a ja jestem zazdrosny i wkurzony, że ktoś już taki tytuł wymyślił, że ktoś już zimę przerobił na własną modłę i zrobił to naprawdę wspaniale. Zimą jako porę roku czuję niesłychanie intensywnie. Ona jest taka cholernie dwuznaczna, ambiwalentna. Z jednej strony ten chłód i mróz, pokryte bielą ulice, które przywodzą na myśl najwspanialsze obrazy mistrzów starej szkoły. A z drugiej strony z tej zimy trzeba jakoś wyjść, wydostać się, nie można być w zimie pogrążonym cały czas. Pozornie tylko jednak wydostajemy się z zimy. Niby wchodzimy do ciepłego mieszkania, niby czeka na nas fotel, przytulne łóżko, herbata z sokiem malinowym, papieros, kawa, książka na długi, zimowy wieczór czytana przy kominku. Niby przestrzeń zimy jest dwudzielna, niby jakiś dualizm się zarysowuje. Niby jest świat oswojony, przytulny i świat zimny, nieoswojony, groźny, świat lodowatej królowej śniegu. Ale tak naprawdę zima jest jedna. Przynajmniej podług mojego widzenia. Wchodząc do domu pogłębiam tylko wrażenie zimy, doznaję jej bardziej intensywnie, zima za oknem działa nawet silniej niż zima doznana bezpośrednio na własnym ciele opatulonym kurtkami, płaszczami i Bóg wie czym jeszcze. Zima przeżywana w domu nie jest tylko wrażeniem zimy, jest jak gdyby kontynuacją tamtej zimy za oknem, jest ciągiem dalszym zimowej opowieści.



Chciałbym napisać opowieść o kulawym Zenonie i dziadku Staszku. Kulawy Zenon słynął ze swojej siły, zamiłowania do gorzały, zachrypniętego głosu i strasznie poranionej duszy, która kryła w sobie głębokie tajemnice człowieka nadwrażliwego. Dziadek Staszek był natomiast moim dziadkiem, który brał mnie na kolana w zimowe wieczory, śpiewał piosenki i huśtał mnie na swoim bujanym fotelu. Słynał również ze swojej ogromnej siły i jak wieść w Głędzinie niesie wyginał kiedyś podkowy. A babcia stała wtedy przy stole kuchennym i lepiła pierogi. W piecyku gazowym palił się ogień i ten obraz stale mam w swojej pamięci, ponieważ uważam, że jest literacko atrakcyjny. Jest zawieja za oknem, gałęzie wyginają się pod naporem wiatru, huczy i buczy, a jestem bezpieczny, zaopiekowany i obdarzony miłością. No i bardzo ciepło jest w moim sercu i wyobraźni, a potem odchodzę na kanapę, nakładam koc na głowę i drzemię. Pewnie jakieś dobre duchy mają nade mną czuwanie, pewnie pilnują, żebym to wszystko zapamiętał. Chciałbym napisać o kulawym Zenonie i dziadku Staszku, o jednym obrazie, który cały czas mam przed oczyma. Jak to pewnego razu urządzono w Głędzinie zawody na siłowanie się ręką. I jak wzięli w nich udział najwięksi siłacze Głędzina. Tadek Borówa, Truskawka, Kozdroń, pan Stach, jeszcze żyjący wtedy stary Mazepa, Edek Gawron, Lechu Jaskóła i oczywiście kulawy Zenon. Było jeszcze wiele pomniejszych postaci, ale wszystkich moja pamięć niestety nie ogarnie. „Moja pamięć jest ułomna jak ułomna jest kreska Nikifora i jak ułomne są blade świty w dygoczącej przestrzeni”, tak napisałem kiedyś w wierszu.

Zawody rozgrywały się w zimowym plenerze, koło zamarzniętej fontanny w parku głędzińskim. Zmaganiom sędziował Janek Bębenek, wtedy jeszcze początkujący literat, który studiował w Krakowie polonistykę na UJ i jako przedstawiciel inteligencji był najbardziej pożądanym jako sędzia obiektywny, jako sędzia bezstronny.

Te stare i młode chłopcy obległy fontannę pod pachą trzymając torby pełne grubych buł z kielbachą, jajkiem i białym serem, kanapki z salcesonem, soki pomarańczowe i pomidorowe, a także niezliczone paczki papierosów. Opatuleni byli w grube kurtki i

widać było tylko parę dobywającą się z ich ust, parę, która tworzyła w powietrzu małe obłoczki zaludniające przestrzeń dookoła. Te stare i młode chłopcy z torbami pełnymi grubych buł i kanapek, które przyrządziły im ich żony i dziewczyny, te chude i grube chłopcy ściągali powoli kurtki, przysuwali obok fontanny wielki stół, kładli na nim dwie świeczki, jedną po jednej, drugą po drugiej stronie stołu i powoli przymierzali się do zapasów. Przed rozgrywką wiele ze sobą rozmawiali, palili pety, jedli buły i jabłka, żartowali, śmiali się, narzekali, przeklinali, każdy z nich mówił tym samym językiem, który jednakowo rubasznie brzmiał w ustach każdego z nich. Nieważne czy mówił Kozdroń, profesor licealny, czy jego przyjaciel pan Stach, tegoż liceum woźny i szatniarz. Nieważne czy mówił Janek Bębenek, student polonistyki, bywały w świecie literat czy Tadek Gurgala, lokalny poeta, ulubieniec głędzińskich dziewczyn, dla których pisał jednakowo grafomańskie wiersze o „puchu miłości, który przeszywa ich utkane z wiatru serca”. Nieważne jakim kto był poetą, nieważne jakim kto był uczonym, nieważne co robił i czym żył, w obliczu wymienianych poglądów przed zimowymi zawodami wszyscy byli jednakowo wartościowi i w sumie, co by tu nie powiedzieć, siebie wari.

Nadeszła jednak długo wyczekiwana chwila zawodów. Jako pierwsi zmierzli się Edek Gawron i kosmaty Bolo. Edek Gawron był znany ze swojej przysłowiowej wręcz chudości, pomimo wielkiej ilości żarcia, jakie mógł w siebie przyjąć przy byle jakiej okazji. Kosmaty Bolo był mały, krępy, cholernie silny i słynął ze swojego owłosienia (niektóre głędzińskie dziewczyny nazywały go gorylem). Dlatego bez obciachu kosmaty Bolo wystąpił bez podkoszulka, chciał zaprezentować swoje okazałe owłosienie na kłacie i trochę zmieknąć przeciwnika swoją twardością, odpornością na mróz, który co by nie powiedzieć, był bardzo silny. Zasiadli do stołu. Śnieg padał na gołą klatkę kosmatego Bola, padał na czapkę Edka Gawrona. Zaczęli zmagania. Pobielane drzewa wokół sekundowały im. A sędziował Janek Bębenek. Tadek Gurgala siedział na ławce nieopodal i coś notował w swoim kajecie. On również zgłosił się do zawodów. Kosmaty Bolo złapał dłoń Edka Gawrona i potężnie ją ścisnął. Edek Gawron zawył

cicho, ale przemógł w sobie ból i tylko zacisnął silnie wargi.

Kosmaty Bolo jednak ścisnął dalej. Ścisnął tak pierońsko mocno, że na ręce Edka Gawrona pojawiły się pierwsze prążki krwi. Edek Gawron jako wrażliwy chudzielec stracił panowanie na widok krwi, co wykorzystał kosmaty Bolo i rychło przechylił szalę na swoją korzyść. Krwawiąca ręka Edka Gawrona wyładowała w ogniu palącej się świeczki. Tym razem głośno zawył i przeklął sakramencko nieładnie, na co Janek Bębenek się uśmiechnął a Tadek Gurgała skrzywił się z niesmakiem. Zasada była taka, że wygrany zostaje przy stole.

Kolejni przeciwnicy kończyli podobnie jak Edek Gawron. Tadek Gurgała został tak poturbowany, że przez parę dni nie napisze już pewnie nowego wiersza. W końcu przysła kolej na kulawego Zenona. Pomruki i rozmowy wokół nagle ucichły. Nikt nie śmiał się odezwać. Do boju stanęło dwóch największych siłaczy Głędzina. Żałowałem trochę, że mój dziadek Staszek nie zgłosił się do zawodów, bo jestem pewien, że załatwiłby wszystkich po kolei. W końcu kiedyś, jak wieść głędzińska głosi, wyginał podkowoy i nikt mu nie mógł podskoczyć.

Kulawy Zenon odrzucił peta i zajął miejsce przy stole. Był ubrany w niebieski podkoszulek, bardzo już zniszczony. Kosmaty Bolo uśmiechnął się pod nosem jakby chciał powiedzieć, „ten pijaczek już nawet łopaty nie jest w stanie utrzymać”. Ścisnęli swoje dłonie. Kosmaty Bolo ścisnął pierońsko mocno, na czole kulawego Zenona pojawiły się krople perlistego potu.

Trwali tak przez jakiś czas w zawieszeniu, a kosmaty Bolo ścisnął coraz silniej. Nagle jednak z czoła kulawego Zenona pot ustąpił, a na jego twarz wstąpiło żelazne opanowanie i lodowaty spokój. Zimny jak głędzińska zima.

Kosmaty Bolo spojrzał w oczy kulawego Zenona i to, co tam zobaczył chyba nie przysporzyło mu odwagi i pewności siebie, bo nagle jakby stracił rezon. Niby dalej ścisnął sakramencko mocno, ale teraz już jakby bez przekonania takiego jak chwilę temu. Wtem coś chrupnęło. Ten trzask był na tyle silny, że w ciszy usłyszeli go wszyscy. Wszyscy myśleli, że to chrupnęło w ręce kulawego Zenona, ale to kosmaty Bolo zawył straszliwie z przeraźliwego bólu. Kulawy Zenon silnym, błyskawicznym szarpnięciem

ulołował potężną łapę kosmatego Bola w ogniu świeczki. Kosmaty Bolo zawył jeszcze głośniejsze, z jego matowych oczu przepitego idioty zaczęły ściekać łzy. Zapadła chwilowa cisza, a potem wszystkie grube i chude chłopcy zaczęły klaskać swoimi obolałymi dłońmi, które wcześniej poturbował im kosmaty Bolo. Mają swojego bohatera. Mają swojego zwycięzcę. Głędzin ma swojego największego siłacza. Kulawy Zenon wstał od stołu, splunął siarczyście i nagle zapatrzył się przenikliwie i diabelsko w jeden punkt głędzińskiego parku. Wszyscy skierowali głowy w miejsce, które swym wzrokiem wskazywał kulawy Zenon. Z alejki parkowej wyłoniła się potężna, barczysta sylwetka dziadka Staszka. Dziadek mój szedł uśmiechając się do ucha do ucha do głędzińskiego towarzystwa paląc swoją ulubioną fajkę. Jednak Głędzinianom nie było do śmiechu. Wszyscy wiedzieli, że zawody tak naprawdę jeszcze nie są rozstrzygnięte.

Że kulawy Zenon jeszcze nie jest absolutnym zwycięzcą. Że słynny z wyginania podków mój dziadek jest w stanie pokonać kulawego Zenona. Problem tkwił jednak w tym, że dziadek Staszek nie zgłosił się do zawodów. Głędzinianie patrzyli na dziadka Staszka tak, jakby czegoś od niego oczekiwali. Dziadek jednak jak gdyby nigdy nic przywitał się ze wszystkimi i z każdym z osobna i na samym końcu podszedł do kulawego Zenona. Zenon uśmiechnął się szelmowsko i powiedział:

- No Staszek, siadaj do stołu, niech ci złoje dupę

Dziadek uśmiechnął się na to szeroko i kordialnie przywitał się z Zenonem podając mu miękko dłoń, jakby go przypadkiem nie chciał skrzywdzić.

- Zenku bardzo chętnie się z tobą zmierzę, jeśli ci na tym zależy, ale dzisiaj spieszę się do domu na obiad, wpadnij jutro pod wieczór, wychylimy coś, pogadamy i posilujemy się.

- Stoi Stachu, skurczybyku, złoje ci dupę.

Po tej wymianie zdań dziadek zwrócił się do zgromadzenia Głędzinian:

- I was zapraszam na tę uroczystość. Miejsca starczy dla wszystkich.

Głędzinianie zaczęli się niespokojnie wiercić jakby nie mogli z siebie wydusić słowa, a potem zgodnym chórem krzyknęli:

- Hura Zenon, Hura Staszek, hip hip hura!

Dziadek uśmiechnął się szeroko, pyknął parę razy swoją fajeczką i obłoczki dymu tworzyły dziwne zawijasy w powietrzu, wypowiadały w niezrozumiałym języku nieznane zaklęcia dziwnej przepowiedni: mane, tekel, fares. Potem dziadek Staszek oddalił się tą samą parkową alejką, którą przybył, a za nim wodzili wzrokiem Głędzinianie i diabelnie i przenikliwie wpatrywał się w niego kulawy Zenon.

Potem te stare, młode, grube i chude chłopcy przekasili jeszcze bułę z kielbasą, szynką, serem, pomidorami, popili piwskim albo wodą, zapalili na koniec papierosa i rozeszli się. Każdy do swojego domu.

Ja stałem jak oczarowany tą sceną i kiedy wróciłem do domu, do dziadków, przerażony spytałem:

- Dziadku, ale jak zamierzasz pokonać kulawego Zenona, przecież dawno nie ćwicyłeś?

- Ech mój Błażku, pamiętaj, nie daj się zwieść emocjom czasem umiej przegrywać

- Czy to znaczy, że przegrasz dziadku?

Dziadek filuternie uśmiechnął się na te moje indagacje i klepnąwszy mnie w ramię wesoło odpowiedział:

- Zobaczmy co pokaże jutro Błażku. Zobaczmy, co jutro pokaże. Kiedy położyłem się spać, długo nie mogłem zmrużyć oczu. Nic nie powiedziałem mamie, bo wiedziałem, żeby zaczęła się bardzo martwić o dziadka Staszka i prawdopodobnie zabroniłaby mu pojedynku z kulawym Zenonem. Zamartwiałem się w łóżku myśląc ciągle jak to będzie. Czy Zenon da radę dziadkowi Staszekowi? Czy dziadek Staszek go od razu zmiażdży i upokorzy i to będzie jego wielki tryumf? Czy może będzie remis? Czy babcia nie będzie przypadkiem biadać? Czy Tadek Gurgała napisze nowy poemat na cześć dziadka Staszka? Czy Janek Bębenek mu go poprawi? I czy ostatecznej korekty dokona pijany Kozdroń? Czy dziadek Staszek nie stanie się głędzińskim bohaterem tak jak kiedyś, kiedy wyginał podkowy? I czy dziadek Staszek jeszcze umie wyginać podkowy tak jak dawniej?

Tak to sobie wszystko przeżywałem przed snem i sen coraz bardziej mnie dopadał, oczy mi się lepiły, a zasypiającymi oczyma

wyobraźni widziałem siłujących się na rękę dziadka Staszka i kulawego Zenona.

Rano wstałem do szkoły, w której w ogóle nie mogłem usiedzieć i cały czas wierciłem się niespokojnie na krześle. Chłopaki pytały mnie, co mi się dzieje, ale ja im enigmatycznie wyjawiałem tylko tyle, że dzisiaj dziadek Staszek stanie się największym bohaterem w Głędzinie. Po lekcjach przyszedłem do domu, zjadłem obiad, który odgrzała mi babcia, próbowałem czytać „Tomka na czarnym łądzie”, ale jego przygody, choć wciągające i wspaniałe bladły niemiłosiernie wobec tego, co miało nastąpić już za parę godzin.

Obserwowałem mojego dziadka jak kiwał się rytmicznie w swoim bujanym fotelu, czytał spokojnie gazetę i pykał swoją ulubioną fajeczkę. Po pewnym czasie zaczęli się schodzić pierwsi goście. Przyszedł Janek Bębenek, Truskawka, Kozdroń, kosmaty Bolo, Edek Gawron, Tadek Gurgała, Lechu Jaskółta i wielu innych. Dziadek postanowił, że przeniesiemy się do dużego pokoju, bo tam jest więcej miejsca. Goście rozsiedli się, zaczęli żartować, śmiać się, przeklinać, narzekać i pić wódkę anyżówkę, którą poczęstował ich mój dziadek. Ja siedziałem w kącie, patrzyłem na twarze, które były mi znajome, słuchałem ich prostej, jasnej mowy, która niczego nie chce komplikować i niecierpliwie czekałem, aż zadzwoni dzwonek do drzwi. Oczekiwałem na przyjście kulawego Zenona. W końcu doczekałem się. Dzwonek zadzwonił. Kulawy Zenon przyszedł w mocno już wytartej marynarce i podniszczonej koszuli flanelowej, z kieszeni, której wystawała mu srebrna piersiówka. Przywitał się ze wszystkimi, podał na końcu rękę dziadkowi Staszekowi i powiedział:

- No Stachu czas na nas. Pora ci złożyć dupę

Na to dziadek uśmiechnął się od ucha do ucha, jakby z góry przewidział gadkę kulawego Zenona i odrzekł:

- No Zenku, zapraszam do stołu.

Na stole leżały dwie płonące świece, jedna po jednej, a druga po drugiej stronie stołu. Za oknem na dobre rozhuła się śnieżycą, a pokój był skąpany w jasnym świetle, które tworzyło miły kontrast do zimowej ciemności za oknem. Babcia przyniosła faworki i herbatę, goście rzucili się łakomie na babcine smakołyki, a kiedy skończyli jeść, zapalili papierocha i zaczęli oglądać walkę między

dwoma absolutnie największymi siłaczami Głędzina. Kulawy Zenon zdjął koszulę, dziadek zdjął sweter i został w samej koszuli. Zmierzyli się wzrokiem, przy czym kulawy Zenon patrzył diabelsko i przenikliwie, a dziadek Staszek wciąż uśmiechał się od ucha do ucha. Skrzyżowali swoje dłonie. Kulawy Zenon ze straszną siłą ścisnął wielką dłoń swojego dziadka, tak że memu dziadkowi zmarszczyły się brwi przez chwilę. Rychło jednak dziadek odzyskał pogodę na twarzy i ścisnął z olbrzymią siłą wielkie łapsko kulawego Zenona. I tak uśmiechając się, jak gdyby nigdy nic, powoli, jakby to sobie zaplanował, kierował to wielkie łapiscze kulawego Zenona w stronę płonącej świeczki. Kiedy już ręka kulawego Zenona znalazła się o milimetr od świeczki i kiedy na czole kulawego Zenona znać było krwawe kropelki potu, dziadek nie przestając się uśmiechać od ucha do ucha powiedział szybko i ostro, jakby wydawał rozkaz:

- Dosyć Zenek, teraz twoja kolej!

I zwolnił swój straszliwy uchwyt. I zmarszczył brwi przez mgnienie chwili. I przez to mgnienie kulawy wydał z siebie ryk rozpaczy pomieszanej z triumfem i z ogromną siłą zatopił potężną dłoń swojego dziadka w ogniu świeczki. Dziadek nie wydał z siebie ani jednej małej nutki bólu ni skargi. Kiedy jego dłoń wylądowała w ogniu, na jego twarzy widać było coś w rodzaju zmęczenia pomieszanego z jakimś nieokreślonym frasunkiem. Milcząc wyjął powoli dłoń z ognia i włożył ją do zimnej wody. Powiedział:

- Gratuluję Zenonie. Jesteś bardzo odważnym i silnym człowiekiem.

Na twarz Zenona wystąpiło nagle światło. Światło i łzy.

- Staszek kurwa, mówiłem, że złoję ci dupę. Mówiłem i złołem. I bardzo ci za to dziękuję. Naprawdę.

- Wiem. Nic się nie stało. To drobiazg. A teraz pozwolicie kochani, że pójde do kuchni. Jestem już nieco zmęczony.

Towarzystwo głędzińskie patrzyło jak zaczarowane na tą scenę. Wszyscy wiedzieli, że dziadek Staszek dał wygrać kulawemu Zenonowi. I wszyscy wiedzieli, dlaczego dziadek Staszek tak postąpił. Postąpił tak, ponieważ był bohaterem. Bohaterowie zawsze umieją pięknie przegrać. Kulawy Zenon od tamtego wydarzenia naprawdę uwierzył w siebie. A uwierzyć w siebie

znaczyło dla kulawego Zenona stać się lepszym człowiekiem. Odtąd częściej wpadał do dziadka Staszka, który był dla niego kimś w rodzaju spowiednika, ojca i zarazem zaufanego przyjaciela. Mówili o tym jakby można było zmienić życie kulawego Zenona, żeby ono naprawdę przypominało piękne życie Jezusa. Że rany, których doznał kulawy Zenon w życiu były nie na darmo. Że to cierpienie miało sens. Że życie kulawego Zenona też ma sens. Jego odgarnianie śniegu ma sens. Każda zima ma sens. I nawet mają sens wiersze Tadka Gurgały (przynajmniej niektóre). I nieudane życie uczuciowe Truskawki też ma sens. Głędzin stał się miejscem sensu na tym świecie pozbawionym sensu. Myślę, że w niedługim czasie do Głędzina przyjdzie Mesjasz, przejdzie się parkową alejką zimową porą i niechybnie wpadnie do dziadka Staszka. Bo oni już tam mają swoje sprawy, o których nawet najmądrzejsza kobieta w mieście, Kozdroniowa niewiele wie.

M.P

### Zbigniew Mirosławski

#### „DZIEŃ ZA DNIEM” DZIENNIK DRUGI

Jest 15 lipca 2003 r., (Rocznica Grunwaldu!!!) wtorek.

Dzień zaczął się o szóstej rano. Obudziłem się dość wcześnie. Jak zwykle poszedłem do łazienki, po krótkiej toalecie, przystąpiłem do przygotowania śniadania. Trzeba było „wyskoczyć” do sklepu na dole mego bloku po drobne zakupy i gazetę w kiosku obok. Właściwie z konkretnych informacji w gazecie nie było nic do czytania. Jakby nic się nie działo a przecież uświadamiam sobie niezwykłość przeżywanego czasu. Wynika to nie tylko z czerwcowego referendum w sprawie przystąpienia Polski do Unii Europejskiej i „eseldowskich” afer korupcyjno-gangsterskich, także lipcowej rocznicy eksterminacji Polaków na Wołyniu. Osobiście też nastąpiły u mnie ważne wydarzenia. 13 czerwca, w piątek, przeszedłem operację usunięcia woreczka żółciowego z kamieniami. Teraz muszę dłuższy czas utrzymywać dietę. Sam gotuję sobie pyszne dietetyczne obiady, lekkostrawne. Przy okazji obserwuję jak okropnie niezdrowy jest nasz polski obyczaj konsumpcji. Można by wspominać Grunwald, choćby na

podstawie kroniki Długosza ale poza rekonstrukcją tej bitwy przez bardzo modne ostatnio bractwa rycerskie media nie relacjonują żadnych informacji o kontekście historycznym.

Jeszcze 2 lipca byliśmy z Olą w Warszawie na pogrzebie stryja Ludwika. Aby na dworcu Centralnym kupić coś dietetycznego do zjedzenia trzeba się trochę nachodzić a i w barze, do którego trafiliśmy musieliśmy złożyć specjalne zamówienie prosząc o pierogi domowe bez tłuszczu. Gdyby wymienić wszystkich, którzy umarli pomiędzy moim pierwszym a drugim dziennikiem, zbierałaby się pewnie dłuższa lista. Nie ma już kuzyna Leona, nie ma wujka Józia, (którego rodziców zamordowali Ukraińcy w Klekotówce koło Brodów), wujka Szamborskiego, nie ma obydwójga państwa M., „doktorostwa” z pobliskiej ulicy Zyblikiewicza, nie ma doktor Krupińskiej, byłej prezes Towarzystwa Przyjaciół Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, często bywającej u wujka Józia, w prasie przeczytałem też nekrolog dr Dory Kacnelson, znajomej z tarnowskiego Światowego Forum Mediów Polonijnych. Zmarła 1 lipca w Berlinie. Była odznaczona Orderem „Polonia Mater Nostra Est”, wybitnym mickiewiczologiem, badaczką losów polskich zesłańców, członkiem Towarzystwa Obrony Kresów Polski, rzeczniczką polsko-ukraińsko-żydowskiego pojednania. 35 lat mieszkała w Drohobyczu. Mam z nią wspólne zdjęcie w holu hotelu „Tarnovia”. Jest za to na świecie Konrad, syn mego młodszego brata Waldka. Urodził się w styczniu, akurat wtedy, kiedy wracaliśmy z Olą z Warszawy, od stryja Ludwika i jego córki Grażyny. Z Ludwikiem widzieliśmy się wtedy po raz ostatni. Trudno mi uporządkować te pierwsze linijki tego zapisu. Tyle spraw się wydarzyło przez ostatnie 3 lata, kiedy nic nie pisałem, że wrażenie lekkiego chaosu musi być odczuwane. Będę jednak pisał po kolei tak jak w poprzednim dzienniku, dzień za dniem. Rytm mijającego czasu wszystko sam układa. Sprawy bieżące i minione łączą się w swojej naturalnej kolei rzeczy.

Okolo 9-tej zatelefonowałem do Waldka, bo przeczytałem o giełdzie pracy, odbywającej się dzisiaj od 10 rano w budynku dawnego Urzędu Wojewódzkiego, przy tzw. tarnowskim Placu

Czerwonym, „Pomiędzy Bogiem a Prawdą” tj. pomiędzy Seminarium Duchownym a Izbą Skarbową. Waldek podziękował mi za wiadomość ale stwierdził, że już ma pracę na giełdzie samochodowej. Przy okazji spotkania zapytam go o szczegóły. Drugi mój brat, Tadeusz i jego żona Basia też są bez pracy. Co prawda coś tam dorabiają w ubezpieczeniach, ale to zajęcie chyba mało popłatne i trzeba być ciągle w ruchu, tzn. stale „latać”. To wymaga kasy na benzynę i remonty auta, w którym nawala system hamulcowy. Miałem zamiar iść zrobić odbitki z ostatniego filmu dla Waldka i Ani oraz dla rodziców i Tadeuszków. Nic z tego nie wyszło, zostałem w domu. Może zrobię to jutro. Wiele fotografii na tym filmie jest super udanych. Lubię utrwać na kliszy sytuacje tak ulotne, że gdyby nie aparat fotograficzny nie zapamiętalibyśmy ich tak dokładnie. Dopiero szczegółowa analiza ujęcia w kadrze pozwala na liczne spostrzeżenia. Wymieniamy się razem z Olą uwagami na temat tego, co wpada w oko. Rozmawiamy o tym, co czytamy. Razem z Olą zacząłem czytać Colina Sissona, „Wewnętrzne Przebudzenie”. Lektura ciekawa, dająca wiele okazji do wymiany opinii o tym jak rozumiemy jego teorie. Jego światopogląd jest silnie podbudowany buddyzmem. To dzisiaj i częste i dość modne, zwłaszcza wśród młodych. Ciekawa jest jego koncepcja „wiecznego teraz” pozwalająca na ucieczkę od czasu, od zmartwień z powodu tego, co już się wydarzyło i troski o to, co może się stać w przyszłości. A propos przyszłości jesteśmy umówieni z Maćkiem, moim bratankiem, synem Tadeusza, ma przyjść do nas popołudniu. W środę zadzwoni do mnie mój przyjaciel Romek, i Józek, kolega ze Stowarzyszenia Autorów Polskich. W czwartek mamy pójść do księdza Józefa, który właśnie wrócił z pielgrzymki do Fatimy i chce się podzielić wrażeniami. Zapraszają nas też Gerard i Julia, mój najstarszy z bratanków ze swoją sympatią, która odwiedzając nas w poprzednim tygodniu mówiła, aby pisać o niej „urocza Julia”. Rzeczywiście posiada wiele wdzięku i jest bardzo sympatyczna. Często się śmieje.

Wczoraj nic nie pisałem. W środę rano poszedłem wreszcie wywołać odbitki z filmu z Warszawy. W firmie u Czajki okazało się, że zepsuł się komputer i na wywołanie trzeba czekać

na naprawę aż do piątku w przyszłym tygodniu. Poszedłem do konkurencji do firmy p. Grzyba. Dopiero, kiedy odebrałem zamówienie okazało się, że pomyliłem film i pomimo dobrej koperty i dobrego opisu zamówienia otrzymałem coś zupełnie innego niż chciałem. Mogłem być zły tylko na samego siebie. Pierwszy raz przydarzyło mi się coś takiego. Szkoda forsy i szkoda, że nie mam tych odbitek, które chciałem. Muszę powstrzymać się z wysłaniem listu do cioci Basi i do Grażyny. Pewnie pójde z tym właściwym filmem do Czajki. Muszę trochę ochłonać po tym, co się wydarzyło. Był też u nas mój bratanek Wacek ze swoją koleżanką Kasią. Wieczorem przyszedł do nas Romek. Wcześniej zatelefonował z pytaniem czy może przyjść z kolegą Grzesiem. Byłem tym zaskoczony ale tylko trochę bo znając Romka, wiem, że nie raz chodzi z licznymi znajomymi po mieście i nawet do swoich znajomych. Dobrze, że tego Grzesia trochę wcześniej miałem już okazję poznać zatem nie wahałem się za długo z odpowiedzią i zaprosiłem ich obu, choć wiedziałem, że Ola będzie zaskoczona więcej ode mnie i nie mogłem przewidzieć jej reakcji na niespodziewanego kolejnego gościa. Przy okazji wizyty (tylko w przedpokoju) Wacka i Kasi włączyłem komputer, bo on chciał pożyczyć CD z programem, który miałem w wieży. Gerard od którego ja otrzymałem płytę CD wyraził zgodę na wydanie jej Wackowi. Wacek i Kasia szybko sobie poszli ale na ekranie komputera pojawiła się ikonka Gadu Gadu z rozmową od Waldka. Chwilę z nimi rozmawiałem.

U Waldka był Tadeusz z Basią i kolega Waldka Mariusz przezywany „Szary”. Wiedząc, że będą już u mnie dwaj goście zaprosiłem też obu braci i „Szarego”. Około 19 przyszli wszyscy. Okazało się jednak iż Tadeusz jest nieco niedysponowany. Trochę wypił i był nadmiernie pobudzony. Rano włamano mu się do samochodu. Waldek i „Szary” pomagali mu przepchać auto (bez akumulatora) z ulicy do ogrodu naszej znajomej mieszkającej nieopodal. Z wyjaśnień nic nie wyszło. Na to musi być mniej osób i Tadeusz też powinien być spokojniejszy. Domagał się jeszcze drinka i na wyraźne zezwolenie Basi nałałem mu tak jak i innym, choć nieco słabszą porcję Chopina z sokiem. Waldek przypominał o naszej domowej księdze gości. On w przeciwieństwie do reszty

ma wraz z Anią swoją stronę, na której odnotowuje swoje każdorazowe odwiedziny u nas. Wymyślili z Anią, aby na dole strony odbić swoje linie papilarne. Obok ich odcisków ostatnio przybył też odcisk linii papilarnych Konrada! Przy okazji do książki gości wpisał się Grześ. O reszcie wpisów, tych wcześniejszych napiszę innym razem. Teraz chcę odnotować kolejne spotkania ze środy i z czwartku. Wizyta szerszego grona mimo pobudzenia Tadeusza przeszła właściwie bez zakłóceń a nawet można powiedzieć dość miło. Ja lubię trochę ruchu. Ola ostatnio stara się raczej wyciszać ale przebieg wieczora też jej nie wybił z nastroju. Goście poszli około 21-ej. Jeszcze przed losowaniem Lotka a była do wygrania w wyniku kumulacji kwota 5 „baniek”. Niestety trafiłem tylko 1 numer.

Nazajutrz rano poszliśmy do lekarza w naszej spółdzielni tj. w Center-Medzie. Wcześniej odwiedził nas mój tato na poranną kawę. Chciał iść z nami do lekarza ale nam wyjście zajęło więcej czasu więc poszedł przodem. My mogliśmy się zarejestrować dopiero na popołudnie. Naszej lekarki nie ma, bo ma urlop. Poszliśmy do miasta. Ola chciała kupić sobie spodnie na lato, zaproponowałem odwiedzić sklep córki Leona, Marioli. Zakup się udał i to niedrogo, dodatkowo spotkaliśmy mojego kolejnego bratanka Olka z jego dziewczyną Alą. Na chwilę zaprowadziłem ich do Marioli, bo Olek dawno jej nie widział. Z Mariolą ja i Ola umówiliśmy się wstępnie na poniedziałek popołudniu na kawę i herbatę. Przez dietę ja na razie nie mogę pić kawy. Ciekawe czy się od niej zupełnie nie odzwyczaję? Na razie odczuwam postęp, bo lepiej się czuję ze swoim serduszkiem. Chyba kawa nie wypłukuje potasu i mogę rzadziej łykać kalipoz. Co też czynię, odstawiając nawet ranną pastylkę akardu. Z kolei z Olkiem, mniej konkretnie umówiliśmy się na odwiedziny w niedługim czasie. Po obiedzie i wizycie w Center-Medzie wykupiliśmy lekarstwa w aptece. Ja odniosłem je do domu, zabierając stamtąd gazetę dla taty. Poszliśmy do niego przynosząc obiecaną mu rano gazetę a wraz z nim wybraliśmy się jeszcze na działki. Tato mówił nam o wypadku, jaki zdarzył się koło parku, samochód najechał z dużą prędkością na wózek dziecienny. Dziecko wypadło i przeleciało kilkanaście metrów upadając na ulicę niedaleko od platanu, który



rośnie nieopodal. Widzieliśmy jeszcze dużą kałużę krwi, porzuconą strzykawkę i igłę, kawałki gazy. Okropne zdarzenie. Inną niezwykłą sytuacją było ukąszenie Konradka przez kleszcza w trakcie spaceru po parku. Waldek i Ania poszli z nim do lekarza. Wiedzieliśmy, że na działce będą rodzice Oli. Spotkaliśmy ich wracając z zakupów do domu. Ja też kupiłem sobie drobiazg tj. bawełnianą koszulkę na gorące dni. Wszystkiego szczegółowo nie da się opisać ale wspomnę bo to pominąłem, że byliśmy jeszcze u krawca. Ola chciała nieco skrócić nogawki zakupionych spodni. Usługa będzie wykonana na piątek o 14-tej. Teściów spotkaliśmy za basenem tj. kiedy wracali już z działki do domu. Była 17-ta. Zrobiłem 3 zdjęcia. Aparat wziąłem ze sobą, bo przewidywałem spacer w kierunku działek. Pożegnaliśmy się ale poszliśmy dalej ponieważ niedaleko teściów działkę ma też brat wspomnianego kuzyna Leona, stryj Marioli – Zenek. Zastaliśmy go, razem z jego żoną Kasią. Ich wnuczek Igor spał w domku. Pod dużym cienistym drzewem zasiedliśmy do rozmowy i odpoczynku. Ola dostała wodę mineralną, tato piwo, ja troszkę piwa na umoczenie wąsów, Zenek zrobił sobie kawę. Kasia nie chciała niczego do picia. Ostatnio źle się czuje. Od dłuższego czasu choruje ona i jej starszy brat. Dowiedzieliśmy się właśnie, że jej brat trafił do szpitala do Krakowa. Tato w rozmowie zaczął mówić o Tadeuszu i trochę się poddenerwował. Zdziwiła mnie dość ostra ocena Tadeusza w ustach Zenka. Moim zdaniem, Oli też, za ostrą. Tato i Zenek nie bardzo rozumieją sytuację Tadeusza i jego kłopoty. Córka Zenka, Gosia przeprowadza się od rodziców i będzie wynajmować mieszkanie niedaleko od nas. Cieszę się z tego, bo będzie więcej okazji, aby się widywać. Wróciliśmy do domu przed 20-tą. Wcześniej odprowadziliśmy ojca przez park. On musi być w mieszkaniu po 19-tej na zastrzyk insuliny. Wtedy mama wraca z pracy. Pracuje ponad siły i gdy wraca czasami zatacza się ze zmęczenia. W domu oglądnęliśmy dość dobry film z Ofrą Winfrey i Ellen Barkin pt. „Bezbronne serca”. Problem nadmiernej agresji rodziców do dzieci, najpierw ojca, potem owdowiałej matki poruszył nas. Omawialiśmy treść filmu razem z Olą, z odwołaniem się do przykładów, jakie znamy z życia. Przez to chyba zapomniałem zatelefonować do ks. Józefa. Tzn. dzwoniłem

dwukrotnie ale zgłaszała się tylko automatyczna sekretarka a chciałem rozmawiać osobiście. Będę to musiał naprawić z rana. Po 22-ej nie wypadało już zakłócać spokoju. Siadłem jeszcze tylko, aby zapisać przebieg zdarzeń tych dwóch dni. Ola położyła się z książką.

Piątek, 18 lipca. Śnił mi się ten wypadek, o którym mówił tato, tamowałem krew płynącą z ciała rannego dziecka, niestety straciłem przytomność a kiedy ją odzyskałem uświadomiłem sobie, że dziecko już nie żyje. Obudziłem się spocony. Sen koszmarny. Rano Ola zabrała się do porządków, m. in. umyła „mopem” podłogi w łazience, przedpokoju i w kuchni. Ja poszedłem zapłacić rachunki za telefon komórkowy i stacjonarny. Wracając odebrałem spodnie Oli od krawca. Dodzwoniłem się po raz trzeci do automatycznej sekretarki i do Romka mówiąc mu o trudnościach w porozumieniu się z ks. Józefem. Doradził mi telefonowanie na plebanie ale i to dwukrotnie się nie udało, bo nikt się nie zgłosił mimo prawidłowego sygnału. Umówiliśmy się z Romkiem, że i tak pojedziemy o 18.30 do księdza. Obiad zjedliśmy na mieście w barze „Szarotka”, gdzie podają obiady dietetyczne. Romek był jeszcze z wizytą w szpitalu u swojego dziadka, który jest w bardzo ciężkim stanie i już nie ma z nim prawie żadnego kontaktu słownego. Trudne chwile. O umówionej porze podjechaliśmy taksówką pod plebanie a ks. Józef właśnie szedł z kościoła do siebie. Od razu się przywitaliśmy i zapowiedzieliśmy, że Romek pewnie za chwilę się pojawi. Tak się stało i już razem poszliśmy do pokoju naszego gospodarza. Mówił bardzo ciekawie i pokazywał pamiątki jakie przywiózł z sanktuariów maryjnych, które odwiedził tj. z La Salette, Lourdes, Fatimy, Santiago del Compostela, z Barcelony, gdzie oglądał kościół Sagrada Familia, z Saragossy, Montserrat, także z innych miejsc m. in. z Madrytu, Nicei, Monaco i Monte Carlo, także z Awinionu. Wręczył nam pamiątki z Lourdes. Europa wkracza do naszego życia coraz częściej ale ta wersja tj. możliwości podróży do takich wspaniałych miejsc muszą zachwycać. Piliśmy herbatę podaną w ładnym angielskim serwisie, ciekawie rozmawialiśmy. Po wizycie ksiądz zaproponował, że nas odwiezie do domu swoim samochodem. Zgodziliśmy się chętnie, ja odczuwałem pewne dolegliwości w

boku ale nie umiem dokładnie określić ich charakteru, czy to ból promieniujący od wątroby, czy od nerki czy też ból stawu biodrowego. Zaprosiliśmy ks. Józefa i Darka do nas za tydzień.

Wieczorem wysmarowałem biodro voltarenem i rano już nie czułem bólu, przeszło! Czyli, że to była jednak dolegliwość reumatyczna. Rytm soboty i niedzieli od dłuższego czasu jest podobny. W soboty idziemy do rodziców Oli, w niedzielę oni odwiedzają nas. W sobotę poszliśmy na spacer i dotarliśmy aż do Tadeuszów. Zastaliśmy tylko Wacka z koleżanką, chwilę po nas przyszedł „Szary”. Zatelefonowałem do Tadeusza a on powiedział, że już idą w kierunku domu, ale będą za około 20 minut, bo idzie z nimi „babcia”. Okazało się, że przyszedł też „dziadzio”. Tak Tadeuszowie i nie tylko oni mówią o naszych rodzicach. Byliśmy u nich dość krótko. Wyjaśniło się, że wypadek koło domu rodziców dotyczył nie wózka z dzieckiem tylko starszego mężczyzny. Też go szkoda ale to zupełnie inny kaliber wydarzenia. Ktoś wszystko poprzekręcał. Wróciliśmy taksówką do domu, za połowę kursu zapłaciła mama. W niedzielne popołudnie byliśmy też na dłuższym niż zazwyczaj spacerze, idąc w kierunku osiedla domków jednorodzinnych i nowych bloków za kościołem parafialnym Miłosierdzia Bożego. Zobaczyliśmy niedawno otwarty nowy hipermarket. Na rozsuwanych drzwiach wejściowych wisiało ogłoszenie o tym, że sklep przyjmie chętnych do pracy do 25 roku życia. Znowu pomyślałem o Waldku.

W niedzielne późne popołudnie poszliśmy z rodzicami do cioci Haliny, wdowy po wujku Ziutku. 1 lipca były jej imieniny. Kwiatek kupiliśmy na rogu ulicy Krakowskiej i Mościckiego. Poniżej umówiliśmy się z rodzicami przy postoju taxi. Przyszli po chwili, mama kupiła trufle w czekoladzie. Tato niósł kwiaty. Ola lubi ciocię Halinę, ja też. Z synem wujostwa chodziłem razem do szkoły, do III Liceum, choć Maciek jest o rok młodszy ode mnie i chodził do niższej klasy. Teraz on mieszka w Krakowie. U cioci w pokoju gościnnym wiszą liczne fotografie wnuczki Martusi, córki Maćka i jego żony Ewy. Ciocia podjęła nas przepyszny Beuff Strogonowem, na tyle delikatnym i bez śmietany, że mogłem się nim delektować. Był też sok z czerwonych grapefruitów i ciasto

ale tego już nie jadłem. Dostałem dla siebie ulubione ostatnio, bo jedyne dozwolone herbatniki! U cioci i wujka zawsze były dwa psy. Mały Dyzio, jamnik szorstkowłosy i wilczury: starą schorowaną Redę zastąpił młody i potężny Gros. Okazało się jednak, że Gros też chorował i zdechł. Zastaliśmy już jego następcę mniejszego ale bardzo pięknego Nero. Wzruszył nas wszystkich Dyzio, który pamięta swego pana i pomimo wyrzucenia przez ciocię rzeczy wujka chodzi za kredens, gdzie przez roztargnienie została niewyrzucona stara teczka wujka, aby ją wachać. Teraz ciocia wystawia mu tą teczkę, co jakiś czas na parę minut i szczęśliwy Dyzio ma okazję się nawachać. Psy tęsknią za właścicielem i odczuwają brak kogoś bliskiego tak jak człowiek.

W poniedziałek poszedłem do „Żaka” tj. do Centrum Nauki i Biznesu, gdzie pracuje mama, bo prosiła mnie o pomoc w rozmieszczeniu informacji o naborze w filiach miejskiej biblioteki. Zastałem tam Gerarda. „Babci” jednak nie było. Czas wykorzystałem układając pismo do pani dyrektor biblioteki z prośbą o zgodę na umieszczenie w podległych jej oddziałach informacji o kierunkach kształcenia w „Żaku”. Gerard poszedł jeszcze coś załatwić. Kiedy wróciła mama podpisała pismo a ja poszedłem na ulicę Krakowską do siedziby biblioteki. Udało mi się sprawę załatwić. Rozmawiałem także o przygotowywanym na jesień tomiku poezji Romka, który recenzowałem i który promuję. Na razie biblioteka „cienko przedzie” i sprawa jest niepewna. Trzeba szukać sponsora. Okazuje się, że w mieście zlikwidowano kilkanaście oddziałów biblioteki, z prawie 25 zostało 7. Nowe czasy dla kultury są tragiczne.

Dotarliśmy także do Marioli i Mirka ale ich nie zastaliśmy, mimo wstępnego uprzedzenia o planach wizyty. Spróbowaliśmy jeszcze odnaleźć, gdzie mieszka Olek ale choć wiedziałem w której kamienicy trudno było dzwonić do wszystkich lokatorów. Na II piętrze nikogo nie było, na I piętrze też. Zrezygnowałem z dzwonięcia na parterze, niesłusznie, bo potem tato powiedział mi, że Olek mieszka właśnie na parterze po lewej stronie (przeprowadził się całkiem niedawno). Zobaczymy się innym razem. Zaglądaliśmy do teściów.



We wtorek rano trochę padał deszcz, ciśnienie było dołujące. Odwiedził nas tato. Wypił kawkę i pożegnał się, kiedy przyszedł Józek, kolega prezes SAP-u. Przyniósł mi tomik Ani Szymańczuk, do którego napisałem wstęp i recenzję tegoż z Gazety Krakowskiej. W ubiegłym tygodniu recenzję tej pozycji w Echu Tarnowskim zamieścił znajomy dziennikarz Ryszard. Tomik Ani nie jest obszerny ale wydany starannie i zawiera tekst na dobrym poziomie. Józek przyniósł też teksty, które opublikuje we wrześniowym numerze „Kajetu Artystyczno-Kulturalnego”, do którego właśnie zbieram materiały. Tytuł ukazuje się pod honorowym patronatem SAP-u.

Popołudniu pojechaliśmy z Olą do „Hipernovej”, największego kompleksu handlowego. Zakupy się udały. Ola wypatrzyła sobie ładną letnią sukienkę, ja portfel na płyty CD (na 25 sztuk). Obok w „Deichmannie” Ola kupiła jeszcze buty na deszczową pogodę. Wróciliśmy taksówką jadąc do cioci Reny przypuszczając, że już wróciła z sanatorium w Kołobrzegu. Udało się nam, ogród był otwarty, okna też, dom wietrzył się po 3 tygodniowej nieobecności jedynej lokatorki. Uściskaliśmy się z ciocią serdecznie, bo tęskniliśmy już za nią i możliwością goszczenia się w jej ogrodzie na kawie (ja teraz z konieczności na herbatce) na fotelikach pod parasolem przeciwsłonecznym. Ciocia wyjechała zaraz, kiedy wyszedłem ze szpitala muszę jej jeszcze oddać jasek, który mi pożyczyła, bo jeszcze nie zdążyłem tego zrobić. Oglądnęliśmy fotografie z Kołobrzegu, wysłuchaliśmy opowieści o atrakcjach pobytu nad morzem. Byliśmy krótko, aby dać cioci wypocząć po podróży, która jednak była luksusowa, bo wracała ciocia samochodem z panem, który też był na leczeniu w sanatorium i jechał pustym autem. Chętnie zabrał pasażerkę, aby mieć z kim porozmawiać i nie zasypiać w trakcie męczącej podróży przez całą Polskę. Zaprosiliśmy ciocię do siebie. Sukienkę Oli trzeba jeszcze zanieść do krawca, aby dokonał drobnej przeróbki. Ciocia ma zepsutą maszynę do szycia.

W środę rano rozpocząłem dzień od pracy nad wrześniowym numerem „Kajetu”. Kiedy ma się elektroniczne teksty, jak od Józia czy od Andrzeja z Zakliczyna praca idzie

szybko i przyjemnie. Niestety są też młodzi autorzy, którzy dostarczają tradycyjne maszynopisy i wtedy trzeba nad tym ślecieć i przepisywać da capo al fine. Jak zwykle od pewnego czasu rano odwiedził nas tato, wpadając na kawkę. Zaprosił nas na „pyszne wino” z okazji 48 rocznicy ślubu. Rodzice obchodzili to wydarzenie wczoraj ale nie mogli się do nas dodzwonić. Ja wino pić nie mogę ale wybierzemy się do nich po obiedzie na krótko, bo w planach mamy wizytę u Juli i Gerarda. Tato poinformował nas o śmierci brata Kasi. Teraz jej mama zamieszka z nią i Zenkiem. Razem z tatą wyszedłem na zakupy, żeby mieć do obiadu: jarzynkę, ziemniaki, ogórki. Filety z piersi kurczaka już miałem. „Ryneczek” warzywny jest bardzo blisko. Właściwie to plac handlowy ale utarło się go nazywać rynkiem albo po tarnowsku burkiem, co trudno etymologicznie wytłumaczyć ale prawdopodobnie pochodzi od nazwy burg tj. zamek. Jest tak dlatego, że najważniejszy miejski plac handlowy znajduje się poniżej rynku przy dawnej drodze na zamek Tarnowskich.

Otrzymałem list z PKO zaadresowany na ulicę „Polskiego Czerwonego K”, bez numeru domu, bez numeru mieszkania, ale dotarł. Zastanawiam się i wymyślam różne koncepcje przyczyny takiego stanu rzeczy. Przypadek nadaje się do wysłania do „Teleexpressu”. Czyżby bank tak daleko uległ laicyzacji, że boi się nawet napisać w adresie słowo „krzyż”? Dlaczego nie napisano tak jak zawsze skrótu PCK ? Przypuszczam, że gdyby była to ulica Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego cała nazwa zmieściłaby się w adresie bez „nikakich” wątpliwości. Z kolei co to jest „Polskie, Czerwone K”? Obecnie raczej rozpowszechnionym skrótem jest „TKM”, w którym „K” tłumaczy się jako „ulubiony” przerywnik zdaniowy sporej części narodu a całość brzmi w kontekście walki o władzę polityczną „Teraz K... My”.

Kiedy wróciłem z zakupami spotkałem na schodach Basię i Tadeusza. Wstąpili do nas na chwilę. Poczęstowaliśmy ich wodą z sokiem, bo było upalnie. Tadeusz chciał przeglądać pocztę w internecie ale rozmowa chyba go zestresowała i wyszli szybko zapominając o sprawdzeniu „skrzynki” pocztowej. Chyba niepotrzebnie wspominałem o tym, że ojciec mówił mi o jego

sprawach. Tadeuszowie byli wczoraj u rodziców na 48 rocznicy ich ślubu. Telefonowano do nas ale my byliśmy w „Hipernowej” i u ciotki Reni. Komórkę noszę ze sobą ale zawsze wylogowaną. Byliśmy zatem poza zasięgiem rodziny.

Zgodnie z umową przyszlismy do rodziców. Był u nich Maciek i sąsiadka z dołu, pani Irena. Grali w bridge’a. Wobec takiej sytuacji szybko wycofaliśmy się informując, iż czeka na nas Gerard. Na schodach wyminęliśmy się z Basią i Tadeuszem idącymi pod górę. To znaczy, że z bridge’a jednak będą nicy. Tadeusz szczęśliwy, bo byli u Marioli, eksniani Waldka, której ja nie widziałem przez co najmniej 25 lat tj. od 1982 roku. Wiem, że mieszka niedaleko Tarnowa na Woli Rzędzińskiej. Mariola ubezpieczyła się w Funduszu oferowanym przez Basię i Tadeusza a jeszcze obdarowała ich dwoma siatkami jabłek i chyba ogórków. Ponadto zaprasza nas wszystkich „na grilla”. Znowu atrakcja nie dla mnie ale z Mariolą chętnie bym się spotkał. Może rzeczywiście to dojdzie do skutku? Zanieśliśmy sukienkę do krawca, będzie na sobotę koło południa.

U Gerarda był Marek. Dość dawno temu go widziałem, tzn. dokładnie w maju, kiedy „szedł do komunii”. Była z tej okazji wielka impreza u dziadków. Była Ewa, pierwsza żona Tadeusza, jej brat Paweł z żoną Jolą, Gerard z Julią, Olek z Alą, Maciek, Wacek i Emil, Waldek z Anią i Konradem, Ola i ja. Przyjemnie jest spotkać się w tak szerokim rodzinnym gronie. Zwłaszcza poprawne układy pomiędzy Ewą i Basią budzą zdumienie niejednej osoby znajomej, która o tym słyszy. Gerard „przegonił” Marka od komputera, bo chciał nam pokazać nowy film pt. „Sekretarka”. W rolach głównych wystąpili Maggie Gyllenhaal i James Spader. Jego pamiętamy z bardzo dobrej roli w filmie Sonderbergha „Seks, kłamstwa i kasety video”, ona ma już na koncie kilka głośnych ról, ale widzieliśmy ją pierwszy raz. Film nam się podobał. Porusza problem różnych psychicznych zahamowań i nawyków. To bardzo prawdziwe. Teraz mówi się o tych sprawach coraz głośniej. Także np. w polskim filmie Koterskiego „Dzień Świra”. Widzieliśmy ten obraz w kinie „Marzenie”.

Prasa i telewizja przyniosły kilka ważnych wydarzeń. Prezydent Kwaśniewski podpisał akces Polski do UE. Amerykanie w Iraku zabili synów Saddama Husseina, Kusaja i Udaja. Pomysł, aby pokazać ich okaleczone zwłoki makabryczny. Dodatkowo obarczony według islamu profanacją. Ciągłe ukazują się artykuły o rezi wołyńskiej. Moczulski w „Gazecie Wyborczej” napisał świetny tekst o Józewskim. Zebrał w nim cyfry dotyczące liczby ofiar polskich. Sam myślałem, aby podobną rzecz napisać. W kalendarzu przypomniano 60 rocznicę operacji „Gomorrha” tj. bombardowań Niemiec. Bardzo dużo pisze się o „nowym spojrzeniu” na II wojnę światową. W trakcie „Gomorrhy” w nocy z 24 na 25 lipca 1943 roku rozpoczął się nalot na Hamburg. Nad miasto nadleciało 741 bombowców. Każdy z samolotów wyrzucał małe pęczki staniolu (folii cynkowej). Staniol szybując w powietrzu powodował dezorientację Niemców, bo na ekranach radarów jego kawałeczki wyglądały jak echo samolotu. Wydawało się iż flota nieprzyjaciela liczy 11 tysięcy maszyn. Myśliwce wroga nie mogły odnaleźć alianckich bombowców. Przez czas 2,5 godziny na Hamburg zrzucono 2300 ton bomb wznecając pożary. Nazajutrz kolejne B-17 kontynuowały dzieło zniszczenia. Trzeciego dnia 739 bombowców zrzucało 2312 ton bomb. Płonęło ok. 16 tysięcy domów. Naloty nadal się powtarzały. Do 2 sierpnia zginęło w mieście bądź zaginęło bez wieści 55 tysięcy mieszkańców i wojennych uciekinierów. Spłonęło 230 km kwadratowych zabudowanej powierzchni tj. wielokrotnie większy obszar niż zniszczeń w obu japońskich miastach: Hiroszima i Nagasaki. Zniszczeniu uległo 36 tysięcy domów i ok. 500 km ulic. 600 tysięcy straciło „dach nad głową”. Port hamburski wraz z urządzeniami leżał w gruzach. Zatopiono okręty o łącznym tonażu 180 000 BRT. Można mnożyć cyfry obrazujące tą tragedię. Pamiętam przejmujący wiersz Tadeusza Śliwiaka „Dzwony w Hamburgu” dotyczący właśnie alarmu w bombardowanym mieście i echa dzwonów po wojnie, kiedy poeta w nim przebywał. Krzemiński w „Polityce” z br. napisał artykuł pt. „Bombom wolności” stawiając na wstępie kontrowersyjne pytanie „Czy Churchill był ludobójcą bombardując niemieckie miasta, czy raczej bombami wymuszał demokrację?”. Pamiętam jeszcze sprzed laty

(wtedy była 40 rocznica bombardowania Drezna) pierwszy artykuł, jaki czytałem w „Żołnierzu polskim” pt. „Podwójny cel”. Zachowałem go do dzisiaj. Tamta operacja miała kryptonim „Uderzenie pioruna”. Rozpoczęła się 13 lutego 1945 roku. Nad Drezno pojawiło się przez kolejne dni 1200 samolotów. Drezno paliło się przez 3 doby. Ściany ognia uniemożliwiały jakikolwiek ruch. Tysiący zwłok spalonych ofiar nigdy nie zidentyfikowano. Autor tamtego materiału cytował relacje naocznych świadków. „Na parkowych ławkach Zwingeru zastygli ludzie, których płuca nie wytrzymały fali uderzeniowej. W jednej z sadzawek usiłowało znaleźć schronienie kilkadziesiąt kobiet i dzieci. Niestety nikt z nich nie przeżył, ponieważ woda wkrótce zaczęła się gotować”. Temperatura ognia powodowała rozgrzanie powietrza do ok. 600 stopni Celsjusza. To była tzw. burza ogniowa. Zwiedzałem Zwinger, pamiętam własny zachwyt nad architekturą i zgromadzonymi dziełami sztuki. Drezno nie było nigdy ważnym celem strategicznym. Chodziło o „demonstrację siły”, aby poderwać morale Niemców i „ostrzec” Związek Radziecki, którego armie nadchodziły ze wschodu. „Florencja nad Elbą” jak nazywa się Drezno została zniszczona w prawie 80 procentach. Gruzy liczyły 17 milionów metrów sześciennych. Zginęło szacunkowo, bo dokładnej liczby nigdy nie poznamy od 90 do 150 tysięcy osób.

Ola źle się czuła i wizytę księdza Józefa odłożyliśmy na późniejszy termin. Mimo to nieco posprzątałem. Ja już wcześniej kupiłem placek ze śliwkami i brzoskwiniami. W piątek spadła gwałtowna ulewa. Strugi deszczu falami zalewały widok za oknem. Nic dziwnego, że nastrój mieliśmy obniżony. Przyczynił się też do tego telefon od mamy. Dzwoniła w sprawach „Żaka”, co zdenerwowało Olę. Zaczęła sobie przypominać wszelkie historie, kiedy mama chciała czegoś więcej niż można by spełnić. Faktycznie telefonowanie przez mnie z domu w sprawach „Żaka” podnosi nasze rachunki, czego nikt nam nie zwróci, a co można wykonać z biura na koszt firmy. Emocje Oli były jednak ponad miarę. Nie potrafiłem jej uspokoić. W efekcie „burza przeniosła się” do domu. Rodzice proponowali nam wyjazd z nimi do Zalasowej do wspólnych znajomych ale „po przejściach” musiałem na żądanie Oli odwołać to przedsięwzięcie.

W sobotę idąc do teściów Ola odebrała sukienkę od krawca. W powrotnej drodze spotkaliśmy Ewę. Olek i brat Ali pakowali jej rzeczy na samochód. Ewa zabierała je z kamienicy, w której mieszkają Ala i Olek. Przywitaliśmy się z nimi i z obecną też Alą. Ewa zapraszała nas do Szerzyn, gdzie obecnie wynajęła drewniany dom, bo tam ma pracę jako fizyoterapeutka. Dziękowała mi za zdjęcia z pierwszej komunii Marka. W bloku teściów okradziono mieszkanie znanego nam taksówkarza, który mieszka samotnie. Wieczorem zatelefonowała ciocia Renia zapraszając nas na poobiednią, niedzielną kawę u siebie w ogrodzie.

Telefonował Romek proponując nam wyjście do parku Sanguszków na koncert muzyki gitarowej. Ola iść nie chciała. Wybraliśmy się za to do cioci. Po drodze Ola wstąpiła do fryzjera. Zakład był czynny pomimo niedzieli. Wszyscy szukają możliwości zarobku, bo czasy trudne. Ja dotarłem do cioci pierwszy zapowiadając nadejście Oli. Poszedłem jeszcze do sklepu nieopodal po wodę mineralną i sok. Był zamknięty. Trzeba było pójść trochę dalej na ulicę Piłsudskiego. Z powrotem niosłem dość ciężką torbę z 1,5 litrem wody i 2 litrami soku. Ola u fryzjerki była zapytana czy wybiera się na imieniny Anny. Przypomnieliśmy sobie o Ani Waldkowej. Zatelefonowałem do niej z życzeniami i umówiliśmy się na wieczór. Ola ma też stryjeczną siostrę Anię ale one nie składają sobie nawzajem życzeń tylko wtedy, kiedy zdarza się spotkać staramy się być „correct”. U Waldków była mama Ani ale nie było Waldka. Okazało się, że nasza mama zatelefonowała do nich z Zalasowej prosząc jego o przywiezienie tam ulotek reklamowych „Żaka”. On pomimo imienin żony pojechał. Moi rodzice zapomnieli o imieninach synowej. To wprawdzie dopiero po raz drugi obchodzona uroczystość ale sam fakt najlepiej świadczy o chaotycznym charakterze wzajemnych rodzinnych kontaktów. Ja sam, gdyby nie Ola też przeoczyłbym datę 26 lipca, mimo iż kilka dni wcześniej mówiłem Oli o tym zbliżającym się terminie imienin. Konrad jeszcze nie spał, choć Ania zapowiadała telefonicznie, że zaprasza nas już po wykapaniu małego i po jego „ululaniu”. Szkoda mi było, że nie będzie okazji go pooglądać, bo zapewne jak każde małe dziecko jest rozkoszny ale emocjonalnie

odbieram go znacznie mocniej niż inne (obce) dzieci. Tak więc udało się, Konrad nas „czarował”. Ania podała sok i ciasta, własne i przyniesione przez nas. Pierwotnie zakupione na podjęcie księdza Józefa. Waldek wrócił dość szybko razem z naszymi rodzicami, Basią i Emilkiem. Tadeuszowie też byli w Zalasowej. Tadeusz nie zmieścił się do auta i miał wracać na piechotę! Bardzo się tym przejąłem, bo był straszny upał. Basia zatelefonowała do niego na komórkę. Powiedział, że złapał okazję do Skrzyszowa ale po drodze trafił im się „kapeć” i zmieniają koło. Nie długo dotarł do nas ale okropnie spocony w całej mokrej koszuli. Wszyscy kierowali go do łazienki, aby się odświeżył. Robiliśmy zdjęcia. Waldek aparatem cyfrowym, z którego zaraz „zgrywał” obraz do komputera. Oglądaliśmy wykonane przed chwilą ujęcia na monitorze. Także krótki filmy, które można nagrać „cyfrówką”. Wróciliśmy od Waldków na piechotę, choć rodzice wezwali taryfę, bo zrobiło się chłodniej i chcieliśmy się przewietrzyć. Dodatkowo Ola była zła na mamę i wołała skrócić okres wspólnego czasu. Zdenerwował ją też Tadeusz, kiedy „palnął”, że chciałby widzieć jak ja zmieniam koło. Ola odparowała mu, że chciałaby widzieć jak on pisze książkę. W sumie niepotrzebne zderzenie. Uwidacznia ono „niedowartościowanie” Tadeusza, który musiał się „pochwalić”, że poradził sobie w przeciwnościach losu. Podczas powrotu rozmowa z Olą była „gwałtowna”. Ona jest wyczerpana i reaguje nie adekwatnie do sytuacji, choć trzeba też przyznać jej, te sytuacje nie są miłe.

W poniedziałek rano pojechaliśmy do lekarza. Szło głównie o recepty, aby leków wystarczyło nam na pobyt w Zakopanem ale Ola miała też dodatkowe obawy przed wirusem SARS, który mógłby się do nas przenieść poprzez zakupioną chińską sukienkę. Lekarz nawet nie machnął ręką tylko wypisał recepty. Na szczęście Ola wracając śmiała się z jego reakcji. Humor powrócił, więc jest nadzieja, że będzie lepiej. Wstąpiliśmy na burek i do paru sklepów. Ola kupiła miotełkę do ścierania kurzu i pajęczyn. Ja wstąpiłem do szkoły i zabrałem zaległą dokumentację do wypełnienia. Po drodze nadjechał Tadeusz z Basią, Emilkiem i mamą. Zatrzymali się. Przywitaliśmy się wszyscy jak gdyby nigdy nic. Mama wysiadła i poszła z nami

piechotą do „Żaka”. Mówiła o planach przeprowadzki do willi koło Marioli, córki Leona. To jest według mnie mało realne. Wspomniałem o kamienicy, w której mieszkają Ala i Olek, że widzieliśmy wyprowadzkę Ewy. Z inicjatywy mamy wstąpiliśmy do Ali. Wreszcie wiem, gdzie mieszkają i byłem tam z Olą! Ponieważ wpadliśmy bez uprzedzenia a Olka nie było, bo był w pracy, szybko się wycofaliśmy, obiecując sobie odwiedziny już zapowiedziane w nieodległej przyszłości. Wstąpiliśmy jeszcze już po pożegnaniu się z mamą, aby kupić ziemniaki, jarzynkę i mięso na obiad. Ola kupiła sobie ładne, skórzane pantofle. Po obiedzie zasiadłem do zaległej dokumentacji. Ola położyła się spać. Znowu nadeszła ulewa i gwałtowna burza. Pioruny rozjaśniały niebo. Grzmoty przewalały się, jakby waliły się gdzieś ogromne gmachy czy to od nalotów jak w opisywanych wcześniej przeze mnie niemieckich miastach, czy też wieże World Trade Center w Nowym Yorku po terrorystycznym zamachu z 11 września 2001 roku. To był horror, którego obraz wszyscy zapamiętamy na zawsze i który powraca choćby w takich chwilach jak te letnie wyładowania atmosferyczne. Po burzy Ola napiła się kawy a ja herbaty. Rozmawialiśmy aż do wieczornych „Faktów” na kanale TVN. Potem także wymienialiśmy się swoimi opiniami ale już bardziej zaaferowała nas telewizja. Po dzienniku na dwójce był benefis Jerzego Hoffmana. Lubimy te programy z Teatru Stu z Krakowa. Są szczególnie dobre pod kątem muzycznym. Olę poderwały do tańca ukraińskie rytmy zespołu „Zierkało” i romanse Domagarowa i jego małżonki, m. in. „Oczy czarnoje” i „Gimnazistki”.

W pisaniu dziennika zaistniała dłuższa przerwa, w trakcie, której wyjechaliśmy do Zakopanego i na Słowację, m. in. do Lubowli, Spiskiego Hradu i Lewoczy. Tam przed kościołem św. Jakuba spotkaliśmy moją panią dyrektor. Było to miłe zaskoczenie, tym bardziej, że to już po raz drugi podczas urlopu „wpadamy na siebie”. W Lewoczy w kościele św. Jakuba znajduje się największy w Europie ołtarz gotycki mistrza Pawła z Lewoczy, ucznia Wita Stwosza. Tym ważniejsze to miejsce spotkania, bo pani dyrektor jest historykiem sztuki a ja jako historyk interesuję się sztuką. Wyraźnie widać, że nasze profesje są wynikiem autentycznej pasji

poznawania wybitnych dzieł minionych czasów.

Znowu bardzo wiele się wydarzyło. Umarł dziadek Romka, tego się spodziewaliśmy, bo był chory na raka i „wędrował” ze szpitala do domu i z powrotem do szpitala. Zmarła także i także na raka mama koleżanki Oli, Danuty. Nie byliśmy na jej pogrzebie, bo klepsydrę zauważyliśmy po naszym powrocie, dzień po uroczystości żałobnej. Telefonowaliśmy do Danuty z wyrazami współczucia. Na pewno się umówimy na spotkanie, może Danuta z mężem wpadną do nas?

Zrobiłem sobie dużą przerwę w pisaniu. Jest 26 września. W ub. tygodniu umarł nagle na serce Łukasz. Był znanym malarzem, mężem Anny. Pisałem o nich w swoim pierwszym dzienniku. Anna bała się o niego, bo chorował na serce, on bał się i troszczył o nią, pomimo rozvodu i mieszkania w innej części miasta. Odwiedzał ją bardzo często. Dane mi było współredagować treść na klepsydrę. Prosił o to mój kolega z pracy Zbyszek Górowski. Był z nim razem właściciel zakładu pogrzebowego, pan Steinhoff. Potem wywieszałem jeszcze czarną flagę na budynku szkoły plastycznej. Na mszy żałobnej jednak nie byłem, bo musiałem w tym samym czasie być w pracy. Pogrzeb Łukasza odbył się w Nysie, gdzie mieszka jego brat i gdzie spoczywają jego rodzice.

Łukaszowi, także zmarłej wiceprezydent miasta Ani Knapik, z którą pracowałem w szkole muzycznej był poświęcony koncert w miejskim teatrze. W dużej mierze w przygotowaniach uczestniczył nasz wspólny szkolny kolega (Łukasza, Romka, mój i większej liczby osób wspominanych w tym dzienniku) Jacek Janicki.

## Jerzy Reuter

### „WAHADŁO NEWTONA”

Obraz wisiał nad łóżkiem, pod Matką Boską Ostrobramską. Pomiędzy nimi świeciła swym wiecznym ognikiem czerwona lampka, świadcząca o obecności Ducha Świętego w naszym domu. Malowidło wykonał na zamówienie mojej babki, Józek Tryba, domokrażca, który raz w tygodniu przychodził na nasze podwórce i wykrzykiwał pod oknami zachrypniętym dyszkantem – Ostrzę noże! Ostrzę noże!

Józek był wesołym człowiekiem i podobno potrafił wszystko. Babka miała przyjaciółkę, Fenię, zamieszkałą w Meksyku. Spędziły razem cztery lata w obozie koncentracyjnym Gross – Rosen i od niej dostawała regularnie kolorowe widokówki. „Odkrytkę” zaniósł Józkowi, a ten przyjął zamówienie na wykonanie obrazu według wzoru. Jego znany w okolicy talent artystyczny ograniczał się do malowania widoków z mostkiem i anioła przeprowadzającego dzieci nad przepaścią, - taki obraz wisiał w naszym przedpokoju, więc trochę kręcił nosem, ale zlecenie przyjął i pobrał zaliczkę.

Dzień odsłonięcia dzieła wypadł w niedzielę. Zasiadliśmy wszyscy wokół okrągłego stołu, a babka podała lipową herbatę. Józek przez chwilę mocował się z oporną ścianą, wbijając odpowiedni gwóźdź, po czym zawiesił wielką taflę dykty. Przez chwilę panowała zupełna cisza. Babka stała na środku pokoju i wpatrywała się w malowidło, potakując z zadowoleniem głową.

Pierwszy wybuchnął śmiechem mój starszy brat. Potem, śmiech przeszedł na innych i pokój wypełnił się niehumanitarnym rechotem.

- Milczeć zarazy! – krzyknęła babka. – Nie macie pojęcia o sztuce!

Obraz przedstawiał pokrojone w kawałki arbuzy. Czerwień miąższu dominowała na całej powierzchni i wyglądała jak rozlana krew. Owoce były pokrojone w ćwiartki i ozdobione powycinanymi ząbkami, a czarne pestki rozsypywały się wokół.

- A nie mówiłem? – powiedział Józek. – Nie mówiłem? Ale tak kazali i tak mają.

- Tyś mnie, Tryba, lekko oszukał – stwierdziła babka i uśmiechnęła się do Józka.

- No, jak to?  
 - Na odkrytce, jeden arbuz ma wykrojone w mięszu litery. Tutaj ich nie ma, kochany Trybo.  
 - Jakie litery? Jak to, zamazane jakieś... To jak miałem przeczytać?  
 - No, dobrze – powiedziała babka. – Niech tak zostanie. – Po czym wypłaciła honorarium.

Byłem najmłodszy w domu, więc miałem przywilej spania z babką. Łóżko przylegało do ściany z obrazami, a czerwona lampka rzucała lekką poświatę na arbuzy. Przed snem liczyłem czarne pestki. Kawałki owoców straszyły twarzami bajkowych potworów i uśmiechały się do mnie, a obraz zamieniał się w filmowy ekran. W tym czasie nie znałem smaku tych owoców, ale bardzo wyraźnie czułem ich zapach. Po wielu latach zrozumiałem, że był to słodki oddech mojej babki.

\* \* \*

Nie wiem ile jest metrów wokół krakowskich błoni. Na moje oko, jakieś dwa kilometry z hakiem. Dwa tysiące małych kawałków, takich na długość kroku, albo, żeby było jaśniej, na pół obrotu rowerowego pedału. Julia jedzie zawsze z przodu, na małej damce, przyklejona okrągłym tyłkiem do siodelka, wkręcona w małe, plastikowe siedzisko jednym kolistym ruchem bioder. Gdy siada, delikatnie wsuwa je pomiędzy grube uda i zakręca szerokim, lambadowym ruchem. Można powiedzieć, że nabija się na mały trójkąt gestem zamaszystym i korbowodowym - używając technicznej terminologii.

Jadę za Julią na wielkim męskim góralu, przejętym po jej byłym mężu – Juźcieniekocham, wyremontowanym przez jej kochanka – Rolnika, dla kochanka – Pisarza, według ścisłej instrukcji kochanka – Naukowca. Jak w rodzinie. Każdy z nas ma swoje miejsce i wie, jaka jest mu przypisana danina. Był jeszcze kochanek – Nikt, ale to nie miało znaczenia. Ten szwagier, kuzyn prawie, nasza rodzina, miał dwa metry wzrostu i bardzo chory kręgosłup. Przypadłość ta eliminowała w pozostałych odczucia zazdrości. Kochanek – Nikt, nie mógł, lub zaniemógł, nieważne. On nie sypiał z naszą Julią. Współczuliśmy facetowi od serca i jednocześnie zacieraliśmy ręce. Zawsze to większy kawał tortu do podziału.

Kochamy Julię bardzo, każdy po swojemu, według najbardziej skrywanych fantazji i wybujałych oczekiwań. Dajemy jej wszyscy siebie, ale każdy zupełnie coś innego, a ona ma dzięki temu pełny zestaw niepowtarzalnych doznań. Rolnik zjawia się raz w miesiącu z pełnymi torbami płodów, wyhodowanych w ciężkim znoju na ziemi ojców i obdarowuje Julię z prostotą kmiecia, przeliczając wszystko na minuty, godziny, noce. Pisarz, jest bardziej wyrafinowany. Jego daniną są uciechy intelektualne w postaci książek, napisanych własną ręką i nieodłącznej butelki whisky. Książek napisał cztery, więc braki pisarskie zastępuje alkoholem i opowieściami z życia śląskiej bohemy.

Najbardziej tajemniczym szwagrem jest Naukowiec. Mieszka gdzieś na końcu Europy, w miasteczku wielkich mózgów i uniwersytetów. Czym się zajmuje? Tego nie wiem, ale z różnych rozmów wynika, że siedzi tam sobie i intensywnie myśli. Często podróżuje po Europie, robi jakieś badania, potrzebne do następnego patentu. Ma bardzo serdeczny stosunek do nas wszystkich, a najbardziej lubi Rolnika.

- Witam pana – mówi znudzonym głosem. – Dzwonię żeby zapytać, a co tam słychać?  
 - Wszystko jest na swoim miejscu, panie O. – odpowiadam grzecznie. – Właśnie wybieram się do Krakowa.  
 - Do naszej Julii? Do niej pan...  
 - Tak – przerywam. – Do kogo bym... No, do kogo?  
 - Wie pan? Ostatnio dużo myślałem o R. On ma kiepską sytuację, nie? R. często jeździ do Julii z tej wsi. Żal mi go, panie Jerry.  
 - Chce, to jeździ. Mnie on niepotrzebny.  
 - Jerry! Pan zbyt prosto stawia sprawy. Tak nie można.

Naukowiec myśli o wszystkim z filozofią wynalazcy. Nie ma spraw prostych i logicznych. Wszystko jest trudne i należy podchodzić do tego powoli.

- Długo myślałem – mówi. – Wie pan? Wykombinowałem, że my się złożymy i kupimy R. jakieś auto! Powie pan K?  
 - Nasz K. nie ma pieniędzy. Jego wydawca nie płaci honorarium.  
 - No, widzi pan – odpowiada zakłopotany. – To, co pan proponuje. Czy możemy coś pomóc? Człowiekowi ze wsi?

- Możemy. Takie autko można kupić za trzy tysiące, góra. Rozumie pan?
- To, tak, no, to pan pójdzie w Krakowie do mojego brata. Ja tam za chwilę zadzwonię, a pan pójdzie i mój brat da pieniądze. Zadzwonię wieczorem i podam adres. Dobrze?
- Moment! – odpowiadam zaskoczony. – Pan chce sam kupić samochód? Temu R.?
- Może tak, tak właśnie bym chciał. A! Jeszcze jedno. Ile to euro, panie Jerry? Chodzi o te trzy tysiące, nie?
- Jakies tysiąc będzie, tych euro... Co powiemy Julii?
- Jej? A nic nie powiemy, nic. To w końcu nasza sprawa. Rodzinna... he he he!

Jadę za Julią na męskim góralu, odziedziczonym po Jużcieniekocham i wpatruję się w jej pracujące, jak dwusuw pośladki. Małe siodełko, wbite pomiędzy półkule mięsa, wygląda jak cienki patyk, podtrzymujący głowę cukrowej waty. Wieczorem pójdziemy na basen, a potem będzie cała moja. Wyglądzona siodełkiem rowerowym i wykapana, wypływana.

\* \* \*

Któregoś letniego dnia, babka wysłała mnie do sklepu. Bardzo lubiłem chodzić na zakupy, była to okazja do oglądania ulicy, a nawet zawierania nowych znajomości.

- Pamiętaj, pół funta cukru i patrz uważnie na strzałkę wagi – powiedziała. – Do tego kupisz dwa słodowe piwa i natychmiast do domu. Tak?
- Tak, babko.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Przy takiej okazji nie mogłem się powstrzymać od zerknięcia w kilka interesujących miejsc. Pierwsze było podwórko. Wszedłem na kwadratowy plac i przewinąłem się trzy razy przez trzepak, potem rzuciłem kilka kamieni w stronę wymalowanej na ścianie swastyki, sprawdziłem czy wejście do nory szczurów nie jest zatkane i wybiegłem na ulicę. Pamiętam, było upalne lato, a środkiem brukowanej jezdni jechały cygańskie wozy. Przed zakładem fryzjerskim siedział młody żołnierz z namydloną twarzą i uśmiechał się do gromadki dzieci, przypatrujących się pracy golibrody. Pan Kował ostrzył brzytwę o szeroki pas i śpiewał włoskie piosenki. Zbliżyłem się do

żołnierza i dotknąłem palcem białej piany, kłębiącej się na jego policzkach.

- To boli? – zapytałem
- Boli jak diabli. A ty gdzie? – odpowiedział. – Idziesz gdzieś, chłopaczku?
- Do sklepu idę, żołnierzu, a co?
- To zmiataj!

Sklep był na końcu ulicy. Jeszcze po drodze zerknąłem do pracowni krawieckiej i wulkanizatora. Gdy dotarłem do celu, zobaczyłem cztery wozy konne, kryte kolorowymi plandekami. Stały przy sklepie, a gromada małych, cygańskich dzieci biegała wokół. Cyganiątka wchodziły pod brzuchy zwierząt i krzyczały w nieznanym języku do przechodniów. Starsi Cyganie siedzieli na murku i jedli czerwone arbuzy, spluwając pestkami przed siebie. Przystanąłem w zupełnym zachwycie i gapilem się, łowiąc wszystkie odgłosy jedzenia. Mężczyźni uśmiechali się do mnie.

- Ciawa! – zawołał jeden, chyba najstarszy z nich. – Chcesz kawałek? Nie bój, ciawa, my dobrzy.
- Babka mi zakazała – odpowiedziałem.
- Chodź, ciawa, zjedz harbuza, no, masz.

Podszedł i przystawił mi kawałek owocu do ust.

- No, jedz. Ciawa, jedz.
- Nie chcę!
- Boisz się nas?
- Nie boję, ale arbuza nie będę.
- Harbuzy dobre, jedz.
- Nie!
- A ja ci mówię, jedz!

Złapał mnie za włosy i przyłożył czerwony miąższ do ust. Zacisnąłem mocno zęby.

- Żryj smarku, jak dają! Sok spływał po brodzie i ściekał na koszulę. Po chwili Cygan przestał. Nagle odchylił się i uderzył mnie kawałkiem arbuza w twarz.

- Bynka ciawa! – zawołał i uderzył jeszcze raz. Inni mężczyźni podeszli i obrzucili mnie kawałkami owoców. Gromadka cygańskich dzieci wypelzła spod wozów i koni. Wtedy zobaczyłem biegnącego ulicą żołnierza. Pędził wielkimi susami i wywijał nad



głową wojskowym pasem. Za nim podążał fryzjer, pan Kowal, trzymając w ręku drewniany taboret.

Cyganie uciekli w popłochu na wozy i zacięli konie. Tabor odjechał spod sklepu szybkim kłusem.

Dwa dni po tej przygodzie, gdy nie było nikogo w domu, wyjąłem z kredensu puszkę czarnej farby i zamalowałem obraz z arbuzami.

\* \* \*

R. samochodu nie dostał. Zmarł szybko i nieoczekiwanie, a właściwie spodziewanie, ale nie tak, że już dziś, lub jutro. R. pił duże ilości podłego alkoholu, więc jego odejście było przewidywalne, co do powodu, lecz rozłożone w zagadce czasu, jakim jest wytrzymałość serca i wątroby. Spirytus „Royal”, mający skutecznie przerzedzić rosyjską populację, zebrał żniwo na naszej starej, sądeckiej ziemi. W dniu śmierci R., zadzwonił do mnie Jużcieniekocham.

- Pan będzie dzisiaj u Julii?

- Tak, to mój weekend – odparłem grzecznie.

- Ona już wie, że R. nie żyje, a pan już też, skoro mówię... Bo ja mam prośbę, panie Jerry.

- Toś mnie pan! – Aż przysiadłem z wrażenia. – Fajny sposób na przekazywanie wieści o śmierci!

- Bo ja mam inną sprawę i lepiej jak pan tam pojedzie wiedząc, a sprawa nie jest byle jaka.

- Wal pan śmiało – odpowiedziałem nieco już spokojniej.

- Pan musi ją odwiedzić od przyjazdu na pogrzeb. Bardzo o to proszę. Pewnie ona nie mówiła, ale my w tej wsi mamy dom i jej romans z R. jest tutaj szeroko znany i potępiany.

- Nie wiedziałem, ale rozumiem.

- Niech teraz sobie pan pomyśli. R., kochanek w trumnie, a za nią idzie rzucony mąż i niewierna żona. Dla niej to nic nie znaczy, ale ja tu zostałem i mieszkam z tymi ludźmi. Czy pan pojmuje?

- No, tak – nie wiedziałem, co powiedzieć. – No, dobrze, ja tu coś wymyślę... Swoją drogą, żeś mnie pan zaskoczył.

- Kuleczko?

- Nie ma mnie.

- Julia, wyjdź. – Siedzi wciśnięta w róg pokoju, zastawiona wielkim fotelem.

- Nie ma Julii, ona umiera.

- Co się stało? – Muszę udawać, że nic nie wiem, bo Julia nie ma pojęcia o kontaktach pomiędzy jej mężczyznami, pomiędzy nami.

- Zabiłam R.

- Co ty mówisz?

- To moja вина! On nie wytrzymał tego piekła, jakie wam robię.

- Nie żyje?

- Zapił się na śmierć... Moja вина... Moja.

- Kuleczko. – Kładę się obok Julii i wciskam w miękkie i ciepłe. Układam głowę na wielkim białym, a jej łzy kapią mi na szyję. – Julio, a my? My cię kochamy.

- Pozamiatam... Muszę pozamiatać. Wszystko.

- Wstań, Julia, zrobię ci obiad, chcesz?

- A co mi ugotujesz? Nie jadłam od wczoraj.

- Zrobię ci rosół, ale musisz wstać i iść do kuchni. – Wiem, że Julia szybko przechodzi do normalności i wiem, że czekała na mnie. Godzinę przed moim przyjściem, wcisnęła się w kąt pokoju i zalała łzami, może szczerymi, albo żeby ją nieco usprawiedliwić, zalała się łzami w sposób przemyślany i wskazujący na wielką bezradność i nawet bezsilność wobec losu. Swojego losu, nie mam wątpliwości.

- Nie każesz mi nic robić?

- Nie. – Przechodzimy do kuchni.

- Pobędziesz ze mną? Boję się. Wiesz, to mieszkanie, ściany... R. robił remont, pół roku temu. Malował... Stał na drabinie, a ja na niego krzyczałam.

- Po obiedzie pójdziemy na Kazimierz. Przejdziemy się, odwiedzimy wszystkie antykwariaty. Chcesz?

- I pójdziemy do sklepu z aniołkami?

- Tak. – Zawsze tam chodzimy i zawsze mam ochotę kupić wielkiego anioła, i powiesić na ścianie, nad łóżkiem Julii. – A potem wstąpimy do galerii. Kupię ci coś pachnącego.

- Pamiętasz? Chciałeś kupić mi anioła.

- Może w końcu kupimy, ale musi być duży i w kolorowej sukience. Niech ma małe kapelusze na głowie, co?



- Nie chcę już. Mam inny pomysł.
- Jaki?
- Ostatnio byłam na Kazimierzu, z K. i natknęłam na dziwny obraz. Leżał zakurzony i brudny za jakimś meblem. W tym antykwariacie jest wielki bałagan. Wiesz, ja chcę mieć to malowidło.
- Jakiś wartościowy? Ile kosztuje?
- Nie, nie jest wartościowy. To jakaś mierna kopia, ale chcę, bo to kopia dzieła Fridy Kahlo. Uwielbiam jej malarstwo.
- Wiesz, że nie znam się na sztuce, ale skoro tak mówisz?
- Jery? Wiesz, co to jest wahadło Newtona?
- Pamiętam ze szkoły, owszem.
- Bo widzisz, jak myślę o sobie, jawi mi się to przenoszenie energii. Pierwsza kulka, to ja, Jery. Ostatnia, to zawsze jeden z was. Tym razem padło na R. Wcześniej oberwał mąż. Kto będzie następny? Coś ci pokażę – wybiega do pokoju. Słyszę jak przerzuca książki. Nie bardzo wiem, co chciała mi przekazać, ale czuję coś złego. Coś nadchodzi i tłumi światelko we mnie.
- Zobacz! – Wraca do kuchni i rzuca na stół kolorowy album. – Otwórz na piętnastej.
- Dobrze. – Rozkładałam kartki wypełnione zdjęciami dzieł sztuki. Na wskazanej stronie widzę dziwny obraz. Półnaga kobieta w medycznym gorsecie, patrzy w bok zimnym wzrokiem, a jej piersi przeciskają się przez metalowe pasy, zapięte na torsie.
- Dziwny.
- Smutek... Jery... To mój smutek. Dlatego muszę to wszystko pozamiatać. Uporządkować i wyjść z gorsetu, a najbardziej uwierającą częścią tego kalectwa jesteście wy, moi chłopcy. Rozumiesz?
- Myślałam, że czujesz się dobrze z nami. Kochamy cię Julio.
- Egoiści. Czy któryś z was, chociaż raz zapytał o moje uczucia? Kogo interesuje moje uczucie? Tańczycie wokół mnie jak koguty. Stroszycie piórka, nie baczac czy mi to się podoba, czy jestem szczęśliwa. Myślisz, że można kochać kilku na raz?
- Żyjemy tak, prawie dwa lata.
- Boże! Czy ty mnie rozumiesz? Wiesz, o czym mówię?

- Chyba tak. – Przeczuję, że to już koniec naszych spotkań, naszych wypraw w góry, basenów, rowerów. – Chodźmy na Kazimierz... Chodźmy po obraz.
- Antykwariat okazał się zatęchłą piwnicą, wypełnioną nikomu niepotrzebnymi przedmiotami. Kawałki mebli i zardzewiałe żyrandole leżały porozrzucane w nieładzie, a w rogu, przy gołej ścianie rozwalający się kredens. Na samym środku piwnicy stało piękne biurko, jedyny wartościowy mebel w tym dziwnym składzie. Stary właściciel siedział podpierając się wiklinową laseczką i wołał w stronę drzwi.
- Prosiemy! Prosiemy!
- Można pooglądać? – zapytała Julia.
- Oglądać, ale nie dotykać. Nie dotykać eksponatów – powiedział właściciel, po czym roześmiał się radośnie – Nie dotykać, bo można się pobrudzić!
- Właściwie, to już mam coś upatrzone. Pamięta mnie pan?
- Owszem – odparł starzec. – Pani oglądała tę kopię, prawda? Jest, jest, a jakże. Schowałem dla pani. Nawet odświeżyłem, ale czy warto? Może nie warto.
- A jednak warto – dodałem.
- A idźże pan, idźże. To nawet nie jest kopia, ale pan wie, jak to jest.
- Mnie się podoba – powiedziała Julia. - Umawialiśmy się, tak?
- Umawialiśmy się? Ja, miła pani, dałem słowo. Moje słowo jest więcej warte niż grajcary. – Wstał zza biurka i podszedł do Julii. - Pięćdziesiąt lat handluję, tak, aż tyle lat szwendam się po kraju i skupuję od ludzi rupiecie. Wiecie, że każdy grat ma swoją historię? Bo ja nie kupuję byle jak, ja proszę was, kupuję z opowieścią. Przedmiot bez historii nie ma u mnie szans. Nawet ten bohomaz ma tragedię w tle, oj i jeszcze, jaką!
- Właściciel był malutkim starcem, wyglądającym jak człowiek z innej epoki. Ubrany w zabytkową bonżurkę, koloru wiśniowego i połataną, sztruksową spodnie. Gdy mówił, wymachiwał na boki laską.
- Pani wie, czym jest taka kopia? – zapytał. – Pani wie?
- Kopia, to kopia – odparła Julia.

- Tak? Idźże pani, idźże! – Staruszek stanął na środku piwnicy. – Takie kopie, czyli landszafty, byle jakiej próby, są jak cukierki ślazowe. Bierze pani do gęby miód, a cycka palony cukier. Dlatego wszystko jest ukryte w historii ludzi związanych z dziełem, szanowna pani.

- To, jeżeli ma pan chęć, proszę opowiedzieć – powiedziała Julia. – Chętnie dowiem się, co powiesz w domu.

Właściciel rozsiadł się w wiklinowym fotelu i wyjął z szuflady biurka długą, szklaną firkę. Przez chwilę przedmuchiwał ją zawzięcie, a potem włożył między kciuk, a palec wskazujący ustnik firkę i przyklasnął drugą dłonią. Ze środka szklanej rurki wypadł mały niedopałek i wylądował na środku piwnicy.

- Obraz kupiłem za ćwiartkę wódki – zaczął staruszek i włożył do firkę kawałek papierosa. – Sprzedał mi go dozorca kamienicy, gdzieś w Tarnowie. Czterdzieści lat temu jeździłem w różne zakątki w poszukiwaniu staroci. Sam obraz był w opłakanym stanie i nie rokował, jak to się mówi. Poza tym malowany na dykcie... Idźże, idźże... Ten malunek zachlapany był czarną farbą, ale to była jakaś wodna, więc wiedziałem, że da się umyć. – Odpalił papierosa i przez chwilę dusił się od kaszlu. – Nie ważne. Ten dozorca był na tyle rozmowny, że wypiliśmy razem tę wódkę i jeszcze ciut trochę. Przy wódcie i ogórkach opowiedział mi dziwną historię. Widzicie państwo. Ten obraz wisiał w mieszkaniu, gdzie mieszkała jakaś starsza kobieta z gromadką dzieci. Podobno, te dzieci, to jakieś z domu dziecka były, czy coś. W każdym razie nie było im bogato.

Słuchałem i czułem, że serce skacze mi do gardła. W przeczuciu jakiejś strasznej katastrofy, przysiadłem na zakurzonej skrzynce. Miałem wrażenie, że zaczynam się dusić.

- Panu źle? – zapytał. – Może wody, albo coś?

- Dobrze, dobrze – odparłem. – To chwilowe.

- Można dalej? – zapytał. – Więc tak. Któregoś dnia kobieta zmarła i nie w tym dziwnego by nie było, gdyby wszyscy o tym wiedzieli. Powiem wam, że nikt nie wiedział o jej śmierci. Całe dwa tygodnie dzieciśka trzymały to w tajemnicy. Mieszkały z trupem, a jeden chłopczyk nawet spał z nią w jednym łóżku. Ktoś w końcu odkrył tragiczną prawdę i dał kres makabrze. Potem te dzieci rozwieźli gdzieś po świecie i został tylko obrazek. Ot, cała historia.

- Jery – powiedziała Julia. – Ja muszę mieć ten obraz.

- Tak, musisz – odparłem. – Trzymaj go w domu i nikomu nie oddaj, rozumiesz? Bardzo cię proszę.

- Boże, jakie to przejmujące. Teraz rozumiem ile jest warta historia, a nie samo dziełko. – Julia była wzruszona.

- Jak mówiłem – powiedział staruszek. – Bez ciekawej historii nie kupuję, bo coś jest warte puste malowidło? Obraz stoi za kredensem. Jest zapakowany w papier, tak będzie wygodniej.

- Ile pan ceni? – zapytałem.

- Cenię? – powiedział z uśmiechem. – Ja mam dobre oko, szanowny panie i widzę, że coś jest na rzeczy z tym obrazem. Weź se pan darmo, ale za historię daje pan na ćwiartkę. Dobrze?

- Dam nawet na dwie – powiedziałem. – Bylebyś pan już nic nie mówił.

- Kuleczko?

- Dziękuję... Dziękuję za prezent.

- Julia.

- Powiedz, ja słucham.

- Oblewamy obraz, czy nasz ostatni wieczór?

...

- Co oblewamy?

...

- Julia.

...

- Sam się pozamiataam, rozumiesz?

...

- Kuleczko. Powiesz mi coś?

- Co?

- Czy na tym obrazie... Czy tam są wymalowane arbuzy?

- Tak, czerwone arbuzy.

- Kocham cię

- Trudno, muszę pozamiatać w swoim życiu.

- Julio. Tam, na arbusach miał być jakiś napis. Proszę, nie mów, jaki.

Dobrze?

- Wahadło Newtona... Wszystko jest reakcją na coś... Nie powiem, nie.

- Jutro mnie już nie będzie.

- Będziesz. Zostanie ten obraz.

- Wahadło Newtona, Julio.

- Tak, Jery.

Po kilku dniach dostałem wiadomość. Na ekranie telefonu wyświetlił się napis: Pozamiatałam K. Zostaję z O. VIVA LA VIDE.

# WARTO WIEDZIEĆ

## NOBEL LITERACKI 2008'

**Jean-Marie Gustave Le Clézio** albo **J.M.G. Le Clézio** (ur. 13.04.1940 r. w Nicei) - powieściopisarz, autor ponad 30 książek, laureat Prix Renaudot w 1963 r. i Literackiej Nagrody Nobla w 2008 r. Jego rodzice byli kuzynami (to samo nazwisko, wspólny dziadek): ojciec brytyjskim chirurgiem, a matka Francuzką z Mauritiusu. Studiował literaturę francuską w *Collège littéraire universitaire* w Nicei i uzyskał stopień doktora, a potem, po pobycie w Londynie i Bristolu wyjechał do USA, gdzie nauczał. W 1967 roku rozpoczął służbę wojskową w Tajlandii, jednak po kilku miesiącach musiał stamtąd wyjechać po tym, jak zaczął głośno krytykować dziecięcą prostytucję. Wysłano go do Meksyku, by tam dokończył służbę. Le Clézio wykorzystał ten czas nie tylko na ćwiczenia wojskowe, lecz także na działalność kulturalną. Żywo uczestniczył w tworzeniu biblioteki Instytutu Francuskiego w Ameryce Łacińskiej. Podjął również studia na Uniwersytecie w Meksyku, w dziedzinie języków Indian (maya i nahuatl). W tym okresie wielokrotnie podróżował do Panamy gdzie przez cztery lata 1970- 1974 mieszkał wśród Indian poznając lepiej ich język. Zainteresowanie kulturą indiańską znalazło odbicie w kilku jego książkach, m.in. przekładach. Mieszka głównie w Albuquerque w Nowym Meksyku, USA, a we Francji w Nicei i Paryżu.

W 1994 roku sondaż przeprowadzony przez francuskie czasopismo literackie *Lire* wykazał, że 13% czytelników uważa go za największego żyjącego pisarza francuskojęzycznego, co dało mu zwycięstwo.

\*\*\*\*\*

## TEGOROCZNĄ NAGRODĘ LITERACKĄ NIKE 2008

otrzymała Olga Tokarczuk za książkę  
pt. „Bieguni”.(WL).

## SPIS TREŚCI

**Zbigniew Mirosławski, s. 5-6**

\*\*\*Sarna płonąca...

\*\*\*Ostatnie godziny przed rozstaniem...

**Zuzanna Abrysowska s. 7-11**

„Ave Madonna”, „Oczy”

„Filmowa kazba”, „Arganie”

„Plac”, „Przewodnik”

„Zawsze widoki”, „Czas milczenia”

**Michał Piętniewicz, s. 12**

„dzień w którym postanowiłem się napić.

**Robert Stańczyk, s. 13-16**

„Brak wzmianki o dniu wczorajszym”

„Mistrzowie kamuflażu”

„Niewyraźne obrazy”

„Patyna”

**Lidia Szafrńska, s. 17-19**

„Stale więcej warta”.

„Oczami nieba”

„Krzyk na wietrze”

„Powitanie”

**Anna Mróz, s. 20**

Z cyklu „W strugach wiatru”, Nocny wiatr..

„W strugach wiatru”, W zakurzonych stertach myśli...

**Mariusz Mitera, s. 21-22**

\*\*\* Nie żyjąc...

\*\*\* Nie ma mnie...

\*\*\* cabriolet, Route 66...

\*\*\* depresyjnie...

**Dariusz Romanowski, s. 23-24**

„Tylko inne jest”

„Obcy”

„Brakujące ogniwo teorii zagłady świata”

**Izabela Iwańczuk, s.25**

„Kosmiczni”

„Cogito er-g-o sum”

**Gabriela Dulian, s. 26-28**

„Zdobycwa”

Z cyklu „Nowa Przypowieść, poszukiwanie Pana Jokera po światach równoległych.

„O początku przypowieści”

Część II, „Białe miasto” Próba I Próba II

**Marta Sowa, s. 29-38**

„surrealizm” „larum”

„artykułztaniejgazety” „utopia”

„orient” „cierpkie usta”

„egoistka” „kontrowersja”

„wielka mała miłość”

**Monika Chytróś s.39,**

„Kobieta – Marynarz”

**Paulina Tomaszewska, s. 40**

„Gorzka noc, upojna 2007”

„Dach świata (R. Riedel 2006)

**Aleksandra Wałaszek, s. 41**

„Górska miłość” „Wybrańcy Bogów”

**Dominika Wianecka, s. 42-43**

\*\*\*patrz na mnie...

\*\*\*moją prawdą jest...

\*\*\*monotonia...

**Maria Jasińska, 43 – 44**

„Zgiń, przepadnij”

\*\*\*lekki wiatr z południa....„Aniele mój...”

## **PROZA:**

**Michał Piętiewicz, „Kulawy Zenon i dziadek Staszek” s. 45**

**Zbigniew Mirosławski, „Dzień za dniem, dziennik drugi” s. 53**

**Jerzy Reuter, Wahadło Newtona. s. 71**

## **WARTO WIEDZIEĆ s. 82**

Literacki Nobel 2008 i Nagroda Nike 2008.

## **NASZA GALERIA s. 85-88**

Fot. : Jubileusz 100-lecia MBP.

Promocja Andrzej Młeczko: „Spowiedź z bojaźni”,

Warsztaty literackie GMA

# **NASZA GALERIA**

JUBILEUSZ 100-LECIA MIEJSKIEJ BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ  
im. J. Słowackiego w Tarnowie - 7 listopada 2008 r. /Sala Lustrzana /



dyr MBP Janina Kania –  
i Elżbieta Rogozińska-Bień z-ca dyr. MBP  
z popiersiem gipsowym  
J. Słowackiego



Prezydent Miasta Tarnowa  
**Ryszard Ścigała**  
z darem dla Biblioteki



Koncert fortepianowy-  
**Marek Szlezer**



## ANDRZEJ MLECZKO: „SPOWIEDŹ Z BOJAŹNI”

Wieczór autorski i promocja tomiku poetyckiego

14 listopada 2008 r. / Galeria Niebieska MBP/



Andrzej Mleczko- autor tomiku i Zbigniew Mirosławski- prowadzący spotkanie



Zbigniew Mirosławski, Andrzej Mleczko, Jerzy Reuter



Andrzej Mleczko i Mariusz Mitera



Andrzej Mleczko i Robert Stańczyk

## Warsztaty literackie GMA - październik 2008

